

Poznaj Świat

Cena 9,95 zł (w tym 8% VAT)

MIESIĘCZNIK PODRÓŻNICZO-GEOGRAFICZNY

2
2012

W numerze:
Badowski, Mazurek, Rosiak



str. 28

Andrzej Bober
KOREA PŁN.

str. 60

Michał Kozok
VANUATU

str. 76

Przemysław Kozłowski
LIBAN

str. 18

**WYSPY
ZIELONEGO
PRZYLĄDKA**

ISSN 0032-6143 INDEKS 369802



GRUZJA • MEKSYK • MOŁDAWIA I NADDNIESTRZE • WENEZUELA

www.poznaj-swiat.pl

DZWIĘKOWA WERSJA MIESIĘCZNIKA *Poznaj Świat*



Na naszej stronie internetowej :

www.poznaj-swiat.pl

prezentujemy dźwiękową wersję
miesięcznika Poznaj Świat,
która powstała z myślą
o osobach niewidomych.

Artykuły czytają absolwenci
i studenci Warszawskiej Szkoły
Filmowej Bogusława Lindy
i Macieja Ślesickiego,
która zaoferowała nam
swoją darmową pomoc.

**ŚCIAĞNIJ
I PRZESŁUCHAJ**



Korea Północna str. 28



Gruzja str. 48



Republika Zielonego Przylądka str. 18



Vanuatu str. 60



Polska str. 66

FOTOFORUM Najlepsze zdjęcia naszych Czytelników str. 4

KOŁOSALNE SPOTKANIE str. 14

W dniach 9-11 marca w Gdyni odbędzie się 13. edycja Kolosów.

GDZIE KSIĘŻYC LUBI LEŻEĆ str. 18

Republika Zielonego Przylądka to miejsce, gdzie historia połączyła kulturę Afryki i Europy. **Maciej Kudła**

MAZUREK NA WYNOS str. 26

Felieton **Roberta Mazurka**

KRAJ BOSKIEGO KIMA str. 28

Koreańska Republika Ludowo-Demokratyczna to jeden z ostatnich skansenów komunizmu. **Andrzej Bober**

GEOSKOP str. 38

CESARSTWO KARNAWAŁU str. 42

Na słynnych wiedeńskich balach bawi się świat biznesu i polityki oraz gwiazdy z pierwszych stron gazet. **Elżbieta Pawełek**

W SIODLE PRZEZ GRUZIŃSKIE GÓRY str. 48

Konna wyprawa po Narodowym Parku Bordzomi.

Marek Dzierżęga

NAVIGATOR str. 56

TRZĘSIENIE ZIEMI, WULKAN I SYRENA str. 60

Na wyspach Vanuatu można przeżyć niezwykle przygody.

Michał Kozok

PIĘKNO ZIMOWYCH TATR str. 66

Polskie krajobrazy w obiektywie **Mikołaja Gospodarka**

TAM, TAM I INNE KIERUNKI... str. 74

Felieton **Dariusza Rosiaka**

Z IZRAELEM POKOJU NIE BĘDZIE str. 76

Muzeum Hezbollahu w Libanie. **Przemysław Kozłowski**

NARTY NA SERIO str. 84

Trysil to największy kurort narciarski w Norwegii. **Katarzyna Rojek**

TOKSYCZNE MEXICO CITY str. 90

Dawna stolica Azteków dusi się w oparach trujących chemikaliów.

Krystyna Słomka

PORTRETY PLEMION str. 96

Fotografie **Williama Gagnadoux**

NA KRAŃCACH UNII str. 98

Przystąpienie do UE uniemożliwia Mołdawii sprawę Naddniestrza.

Filip Drzewiecki

POZNAJ ŚWIAT OD KUCHNI str. 104

Redakcja podejmuje kulinarne wyzwania Czytelników.

W TRAMPKACH NA RORAIME str. 106

Wyprawa na wenezuelski szczyt tepui. **Paulina Kańska**

POZNAJ ŚWIAT W DELEGACJI str. 113

Wywiad **Marka Szpendowskiego** z **Bogusławem Chrobotą**

Z PERSPEKTYWY str. 114

Felieton **Ryszarda Badowskiego**

OUTDOOR str. 118

POLSKA, KTÓREJ NIE MA str. 120



NA OKŁADCE:
Młody mieszkaniec
Wysp Zielonego
Przylądka.





KONKURS AKADEMII NIKONA
I MIESIĘCZNIKA POZNAJ ŚWIAT
I MIEJSCE

Marcin Kopka

INDIE

Z dzióbka

Kobieta pijąca wodę w Pałacu Wiatrów w Jaipurze bardzo uważała, aby nie dotknąć ustami dzbanka, tak aby inni mogli się również z niego napić.

Dominika Kustosz

KONKURS AKADEMII NIKONA I MIESIĘCZNIKA POZNAJ ŚWIAT
WYRÓŻNIENIE

INDONEZJA

Na etacie w piekle

Na wysokości 2148 m n.p.m. znajduje się jezioro Kawah Ijen. Jest to największe (1 km średnicy) na świecie jezioro siarki, otoczone przez ściany krateru. Wszędzie snują się drażniące opary. Oczy pieką i łzawią. W tych piekielnych warunkach codziennie ręcznie wydobywana jest siarka. Mężczyźni noszą na swych barkach ogromne ładunki. W palmowych koszach przenoszą jednorazowo nawet do 100 kg.





KONKURS AKADEMII NIKONA I MIESIĘCZNIKA POZNAJ ŚWIAT
WYRÓŻNIENIE

Katarzyna Warańska

POLSKA

Następnym razem

Tym razem realizacja naszego marzenia o zimowym wejściu na Zawrat zakończyła się pod ścianą Kościelca na taflí zamarzniętego Czarnego Stawu Gąsienicowego (1624 m n.p.m.).
Może uda się w następnym sezonie, przy bardziej sprzyjającej aurze.



Bartosz Budrewicz

KENIA

Każdy powód dobry

Para wyraźnie przejeżdżonych hien odpoczywa po udanym nocnym żerowaniu. We wrześniu, kiedy zdjęcie zostało zrobione, w Kenii temperatury o poranku mogą wynosić nawet poniżej 10 stopni. To dobry pretekst do przytulania.

Dariusz Małkowski

USA

Buziaki na pokaz

Do charakterystycznych zachowań piesków preriowych należą „pocałunki”, podczas których osobniki stykają się pyszczkami i językami. Badacze studiujący zachowania tych zwierząt w zoo w St. Louis odkryli, że gryzonie przytulają się i całują częściej, gdy są obserwowane przez ludzi.





Bartosz Budrewicz

TANZANIA

Iskaj mnie czule

Iskanie u małp oprócz funkcji higienicznych jest także przejawem rodzinnej sympatii, wzajemnego uznania i oddania. Bywa również zapłatą za pożywienie, ochronę lub seks.

Mariusz Nagieć

BOLIWIA

Nadstaw uszko, ma papużko

Wiele gatunków papug wykształciło zachowania rytualne polegające na wzajemnym czyszczeniu piór.

Najbardziej koncentrują się na toalecie głowy i szyi, gdyż te piórka brudzą się najczęściej od soków owoców.



Dariusz Małkowski

NORWEGIA

Aurora borealis

Zielona, skrzydlata zjawia unosi
się ponad śniegami fiordu
niedaleko Tromsø.





Jacek Kadaj

ARGENTYNA

Z tęczą na rufie

Siła z jaką uderza wodospad Garganta del Diablo na rzece Iguazú powoduje nieustanne unoszenie się mglistego obłoku, który sprzyja powstawaniu tęczy.



Jacek Świętochowski

MONGOLIA

Stepowi jeźdźcy

Sfotografowani w okolicach Tsogt-Ovoo mężczyźni udają się na obchody największego święta narodowego Naadam. Jego najważniejszym wydarzeniem są zawody obejmujące tradycyjnie trzy konkurencje: zapasy, łucznictwo i wyścig konny. Mężczyźni, ubrani w odświętne, tradycyjne stroje zwane deel, tu ujeżdżają chiński motocykl.



Prześlij zdjęcie! Na nasz adres: redakcja@poznaj-swiat.pl przysyłajcie zdjęcia w formacie jpg. W tytule piszcie FOTOFORUM. Inny sposób na przesłanie zdjęcia to wypełnienie formularza na naszej stronie: www.poznaj-swiat.pl. Dzięki FOTOFORUM wszyscy zobaczą, jak wygląda nasz wspólny świat.



Kolosy
– gdyńska impreza
z roku na rok jest coraz
większa. Na początku
gromadziła tylko grupę
pasjonatów, którzy byli
w stanie pomieścić się na
niewielkiej widowni.
Dziś, aby wszyscy
zainteresowani mogli
uczestniczyć w prelekcjach,
organizatorzy wynajmują
największą halę w mieście.
Ale i to nie wystarcza
– przed rokiem znowu
część widzów nie dostała
się do środka...

Kolosalne spotkanie

Opracował Dariusz Małkowski



JAK SOBIE POŚCIELESZ, TAK SOBIE OBEJRZYSZ

Wielu uczestników Kolosów, chcąc być jak najbliżej relacji z odległych miejsc, koczuje tuż przy samym ekranie.

Coroczne Spotkania Podróżników, Żeglarzy i Alpinistów to trzy magiczne dni w roku, w czasie których publiczność z zapartym tchem słucha relacji z ekspedycji w najdalsze zakątki planety, z oryginalnych wyjazdów w niedostępne miejsca, opowieści ludzi, którzy dotarli tam, gdzie nie chciałoby ich zawieźć biura podróży. Co przyciąga publiczność? Zapewne niespełnione marzenie o dalekich wędrówkach i niezwykłych czynach, których namiastkę znaleźć można w barwnych opowieściach.

Polscy podróżnicy, którzy po otwarciu granic zaczęli przemierzać świat, długo pozostawali niezauważani. Ponad 10 lat temu narodził się pomysł oryginalnej imprezy, która pozwoliłaby wyjść z cienia tym, którzy na to zasługują.

OD TEGO SIĘ ZACZĘŁO

...że Janusz Janowski, wydawca nieistniejącego już Informatora Turystycznego „Wędrowiec”, wpadł na pomysł, by zrobić spotkania podróżników, podczas których swoje dokonania mogliby zaprezentować w jednym miejscu ludzie uprawiający tramping, taternictwo jaskiniowe, żeglarstwo i alpinizm. Życzliwość gdyńskich władz sprawiła, że pomysł udało się przekuć w rzeczywistość i w 1999 roku przy okazji lokalnych targów Kaszuby '99 odbyły się Pierwsze Ogólnopolskie Spotkania Podróżników.

Formuła imprezy była niezwykle – wybitni podróżnicy nie tylko wygłaszali prelekcje na temat swoich wypraw, ale byli również przez cały czas trwania targów gospodarzami swoich stoisk wystawowych. Prezentowane na nich zdjęcia i eksponaty z podróży cieszyły się ogromnym zainteresowa-

niem tłumów odwiedzających halę. Janowskiemu sukces Spotkań nie wystarczył. Rozmowy z uczestnikami zainspirowały go do poszukiwania jeszcze bardziej spektakularnej formuły prezentacji polskich dokonań podróżniczo-eksploracyjnych.

TAK NARODZIŁY SIĘ KOLOSZY

– Marzenia o dalekich podróżach wyniosłem z książek Arkadego Fiedlera i choć tych naprawdę odkrywczych wypraw jest coraz mniej, to zawsze warto podjąć wyzwanie – mówi Janusz Janowski. – Pomysł zrodził się przed laty, kiedy zwróciłem uwagę na młodych ludzi, którzy godzinami siedzieli przed komputerem i czatowali, przeżywając podróże i przygody tylko wirtualnie. Pomyślałem, że nie jest to normalne, trzeba ich z tego wyrwać, dać młodym ludziom alternatywę, możliwość sprawdzenia się w świecie prawdziwej przygody. Chciałem zorganizować imprezę, która będzie nagłośniona przez media, która da możliwość zaistnienia, wybicia się i podejmowania kolejnych wyzwań.

Pomysł przyznawania nagród – Kolosów – za wybitne osiągnięcia w dziedzinie podróży, żeglarstwa, alpinizmu i eksploracji jaskiń (dla tych, którzy wylamują się z jakichkolwiek schematów, stworzono kategorię „wyczyn roku”) był ze wszech miar oryginalny. Gotowe wzory nie istniały w świecie – „Rejs Roku” w Polsce czy „Złoty Czekan” we Francji to zamknięte imprezy dla hermetycznych środowisk. Kolosy miały natomiast zagospodarować całość aktywności polskich globtroterów i poszukiwaczy przygód.

DZIŚ MAŁO KTO PAMIĘTA

...że w 2000 roku Spotkania odbyły się w zabytkowych podziemiach Kopalni Soli „Wieliczka”. Impreza okazała się spektakularnym sukcesem. Potem, do 2005 roku miejscem corocznego święta polskich globtroterów był Teatr Miejski im. Gombrowicza w Gdyni. Od świtu do zmierzchu tłum forsował drzwi wejściowe, a zdobycie miejsca siedzącego z reguły granoczyło z cudem. Publiczność wlewała się tuż pod ekran i stojąc, siedząc lub leżąc – chłonęła kolejne opowieści.

Trzy następne edycje zorganizowano w 500-osobowej sali kina Silver Screen. Od 2008 roku zrealizowano pomysł bezpośredniej transmisji do drugiej, mniejszej sali kinowej na 330 miejsc, a pokazy można było oglądać online w internecie. W 2010 roku, po przeprowadzce Spotkań Podróżników do nowoczesnej Hali Widowiskowo-Sportowej „Gdynia”, pobito rekord frekwencji: w kulminacyjnym momencie na hali było 4000 osób, a w przeciągu trzech dni w imprezie uczestniczyło około 15 tys. osób.

EMOCJE ROSNĄ

Prestiżowe statuetki w postaci miniaturowego posągu z Wyspy Wielkanocnej za podróżnicze dokonania roku 2011 w kategoriach „Podróż”, „Żeglarstwo”, „Alpinizm”, „Eksploracja jaskiń” oraz „Wyczyn roku” zostaną wręczone już niebawem. Kapituła Kolosów tradycyjnie przyzna również Super Kolosa za całokształt osiągnięć. Do Kolosów 2011 można było zgłaszać zarówno własne wyprawy zakończone w roku 2011, jak i rekomendować przedsięwzięcia zrealizowane przez innych. Największa w Polsce doroczna impreza środowiska podróżniczego odbędzie się w dniach 9-11 marca. Będzie można otrzeć się o podróżnicze sławy, kupić książki, prasę turystyczną, porozmawiać z autorami, zdobyć autografy i... przywitać się z redakcją miesięcznika *Poznaj Świat*.

Kto nie mógł doczekać się Kolosów, 11 grudnia ub.r. spędził czas na Krakowskich Spotkaniach Podróżników, uznawanych za prolog Kolosów. To tam m.in. Aleksander Doba, znakomity kajakarz, „powbił w fotele” nie tylko relacją z przepłynięcia Atlantyku, ale też zapowiedzią kontynuacji – w marcu planuje rozpocząć kajakowy trawers Pacyfiku!

W tym roku ważne będą też jubileusze, które staną się okazją do przypomnienia dwóch wybitnych osiągnięć polskich podróżników: Władysława Wagnera, pierwszego Polaka, który opłynął kulę ziemską jachtem żaglowym (w 80. rocznicę rozpoczęcia rejsu) oraz Piotra Chmielińskiego, członka Kapituły Kolosów, ćwierć wieku po zakończeniu wyprawy, podczas której spłynął Amazonką od źródeł aż do jej ujścia. W Gdyni szykuje się zatem naprawdę duża dawka emocji.

SKĄD BIERZE SIĘ TEN FENOMEN?

Kolosy to największa impreza globtroter-ska w Polsce. Rozmach, z jakim jest organizowana, nie przeszkadza w tym, by nadal panowała tu wyjątkowa atmosfera. W cenie są wszelkie najbardziej szalone pomysły. Samotny spływ pontonem syberyjską Leną, wędrówka z siedmiomiesięcznym dzieckiem po Kaukazie, pomysł dwóch studentów z Krakowa, by w samym środku lata przejść 1000 km przez pustynie Gobi, okrążenie skutego lodem Bajkału, przepłynięcie szalupą przez Bałtyk czy wyprawa traktorem marki Ursus przez Amerykę Południową sprawiają, że salę pełną widzów ogarnia entuzjazm, zachwyt, wewnętrzna chęć powtórzenia podobnego wyczynu.

W programie tegorocznych Spotkań jest prawie sto pokazów, prelekcji i wykładów. To impreza nie tylko dla doświadczonych podróżników, ale także dla tych początkujących. Tu nikt nie dzieli uczestników na ważnych i mniej ważnych. Spotkaniom towarzyszą wystawy fotograficzne. Uczestnicy wy-

praw, które nie zostają nominowane do Kolosów, są zapraszani do udziału w slajdowisku, zwanym Fotoplastykonem. Atrakcyjność wszystkich prelekcji ocenia publiczność, poprzez głosownie za pośrednictwem kuponów na „Najciekawszy pokaz”. Tłumy na widowni, pół setki prelegentów, trudne decyzje członków Kapituły – czy tak zapisze się w historii finał kolejnej edycji Kolosów? Odpowiedź poznamy niebawem.

Miesięcznik Poznaj Świat jest patronem najbliższych Kolosów. Na naszym stoisku będzie można kupić aktualne i archiwalne numery naszego pisma, książki naszych autorów, spotkać niektórych z nich oraz zamówić prenumeratę na wyjątkowych warunkach. Specjalnie dla naszych Czytelników zorganizujemy spotkania z wybranymi autorami współpracującymi z miesięcznikiem Poznaj Świat. Zapraszamy do nas.

KTO RANO WSTAJE

...ten ma szansę rozłożyć swoją karimatę w najlepszym miejscu.

ZOBACZ, O CZYM MÓWIĘ

Przed wielotysięczną widownią podróżnicy prezentują nie tylko opowieści, lecz także ich ilustracje.

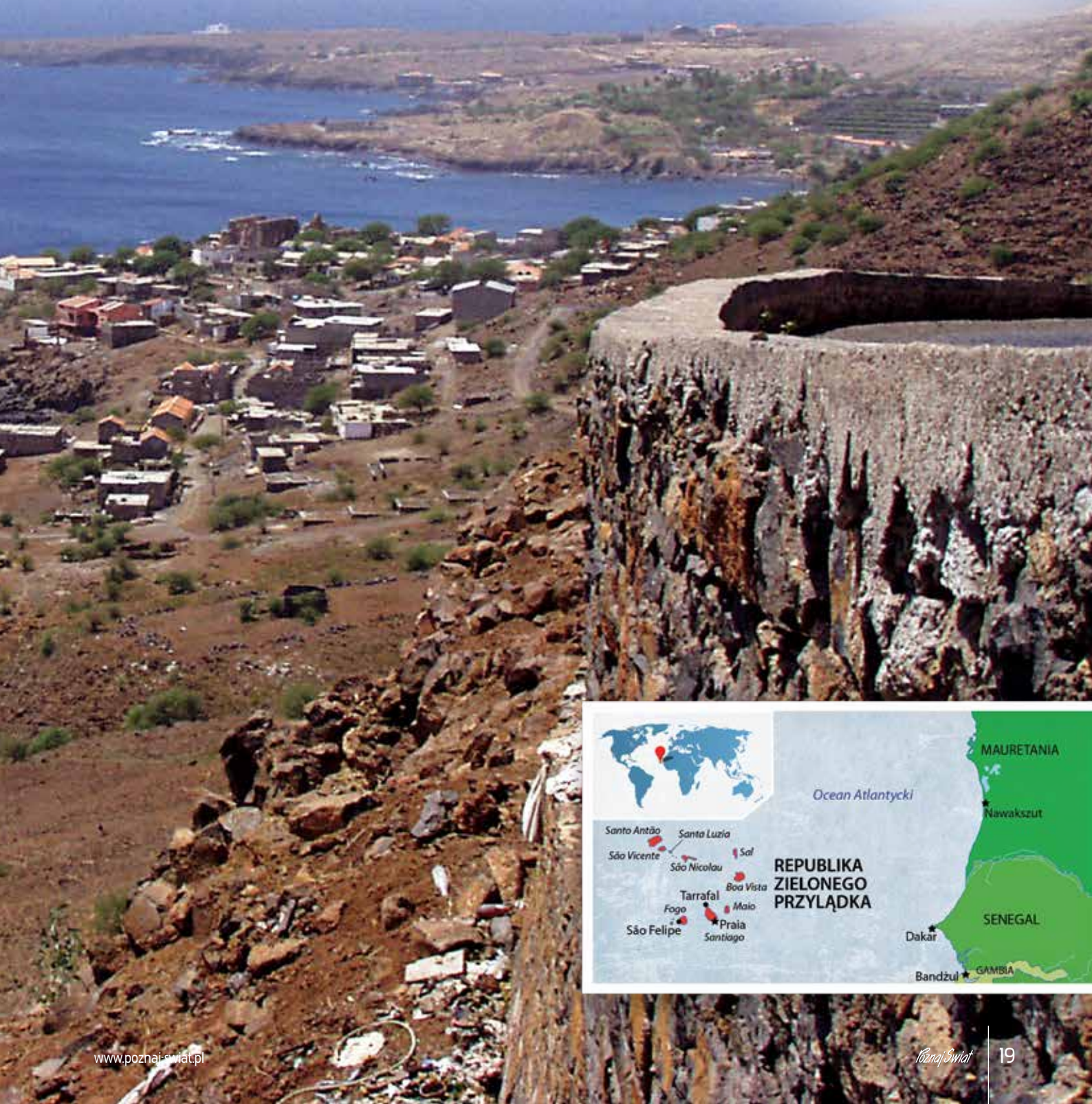


„Dla każdego coś ciekawego” – brzmi jak reklama sklepu 1001 drobiazgów. A mimo to doskonale pasuje do Cabo Verde, Republiki Zielonego Przylądka, leżącej na archipelagu wysp o tej samej nazwie. To miejsce, gdzie historia połączyła kulturę Afryki i Europy, zmieszała krew niewolników i ich oprawców, ożeniła języki plemienne z portugalskim. Tu rękę napotkanej starszej osoby przykłada się do czoła na znak szacunku, a droga do sklepu oddalonego o 200 metrów zajmuje nierzadko czterdzieści minut. To miejsce, gdzie czas się nie spieszy.

GDZIE KSIEZYC LUBI LEŻEĆ

Maciej Kudła

FOT. MACIEJ KUDŁA



WODNE DZIECI

Nawet najmłodsi mieszkańcy wysp to urodzeni pływacy. Ocean będzie towarzyszył im przez całe życie.



PRABABCIA SAMBY

Batuku to melodia, śpiew i taniec tutejszych kobiet, to rytm natury wystukiwany na udach i prowizorycznych bębenkach.



Na Wyspy Zielonego Przylądka przybywają wielbiciel ptaków, by podglądać ponad siedemdziesiąt ich gatunków oraz wędkarze, by łowić tuńczyki, barrakudy i merliny. Entuzjaści górskich wędrówek wspinają się na szczyt wulkanu, a amatorzy plażowania wybierają sobie kolor piasku. Wodniacy piją grog i żeglują po kryształowych wodach Atlantyku. Fani dobrej muzyki dopieszczają swe ucho dźwiękami nostalgicznej morny, zaś miłośnicy tańca uczą się batuku i funany, a w czasie karnawałowej parady tańczą na ulicach samby. Wyznawcy sztuki kulinarnej próbują najlepszych homarów, delektując się przy tym winem, które wyrosło na wulkanicznym popiele.

Znajdziemy co prawda na archipelagu miejsca atrakcyjne dla zwolenników wczasów w eleganckich hotelach, z basenami i drinkami z parasolkami – na przykład na wyspie Sal – a jednak, nie jest to kraj typowo turystyczny. Pozostaje nieczystszy wakacyjnym biznesem z kiczowatymi pamiątkami, hałaśliwą muzyką i animacjami na plaży. Na wyspach Santiago i Fogo nadal spotyka się chłopców,

którzy zamiast uczyć się w szkole, sprzedają turystom muszelki za sto pięćdziesiąt escudo, pisząc patykami na piasku 100 50. Albo rudego chłopaka o czarnej skórze kopiącego na plaży piłkę, aby w przyszłości jako gwiazda futbolu wydestać się do „lepszego świata”.

FOGO ZNACZY OGIEŃ

– *Tu nie dotykaj* – Carlos stanowczym głosem zwrócił nam uwagę, kiedy nachyliliśmy się by zobaczyć, co robi. W niewielkim zagłębieniu nasz przewodnik ułożył kilka zebranych po drodze suchych gałązek.

– *Take photo* – zaproponował, choć nie bardzo wiedziałem, co miałbym fotografować. I nagle buchnął ogień. – *260 degrees Celsius* – dodał Carlos.

Byliśmy na szczycie mniejszego z dwóch stożków wulkanicznych znajdujących się pośrodku kaldery, otoczeni wysoką na kilometr ścianą, która stanowi naturalną granicę parku narodowego na wyspie Fogo (Parque Natural do Fogo). Wokół nas czarny popiół, który unoszony przez wiatr wciskał się nam do oczu, a dalej jeziora zastygłej lawy i szare ściany kaldery. Bliżej krater wyglądający jak pułapka mrówkolwa z żółtymi i czerwonymi „naciekami” – pozostałościami siarki i żelaza po ostatnim wybuchu wulkanu.

Większość dorosłych mieszkańców Chã das Caldeiras – osady leżącej u stóp wysokiego na po-



nad 2800 m n.p.m. Pico do Fogo – pamięta wieczór 2 kwietnia 1995 roku, kiedy po kilku wstrząsach z boku góry wypłynął ogień, a potem na wieś spadła warstwa szarego pyłu. Strzelającą w niebo lawę i chmurę popiołu sięgającą 5 kilometrów oglądali już spoza kaldeiry, z miejsca gdzie postawiono dla nich namiotowe miasteczko. Dziś tradycyjne, okrągłe domy i mniej urocze, ale również zbudowane z bloków lawy budynki zamieszkuje około tysiąca mieszkańców. Niektórzy z nich podobno odziedziczyli jasne włosy i niebieskie oczy po pewnym bardzo płodnym francuskim hrabim odwiedzającym wreszcie w drodze do Brazylii.

Hrabia ów, oprócz potomstwa, pozostawił na Fogo także winne krzewy, które dały początek trwającej już blisko 140 lat tradycji produkcji wina. Prawdopodobnie jeden z jego potomków prowadzi niewielki sklep, będący jednocześnie spółdzielnią zrzeszającą wszystkich właścicieli winnic z Chã

das Caldeiras. Wieczorem sklep wypełniają bliźni i dalsi członkowie rodziny, aby wspólnie pomuzykować przy świetle naftowej lampy. Właściciel sklepu przynosi gitarę i grą przywołuje najmłodszego syna, który po kreolsku śpiewa napisane przez ojca morny. Wino, jak w piosenkach Cesáriu Évory, powoli spływa po ściankach szklanki, a jego mineralny, ale bardzo gładki smak dopełnia niezwykłości wieczoru.

Na zewnątrz pozbawiona elektryczności wieś tonęła w mroku, a wychodzący zza szczytu Pico Grande cienki sierp księżyca zdecydowanie wołał leżeć. W skromnym pokoju na stoliku obok łóżka leżała świeczka i zapalki. W półmroku próbowałem znaleźć drogę do łazienki. Na ścianach informacje po angielsku jak oszczędzać wodę. Tu, w Chã das Caldeiras, liczy się każda kropla. W okresie deszczowym woda zbierana jest do dużych zbiorników, w pozostałym czasie dowożona cysternami z São Felipe – głównego miasta wyspy.

ODPOCZYNEK NA KRAWĘDZI

Na szczyt Fogo należy wchodzić z przewodnikiem. Na nieznanym terenie turystę czeka wiele niebezpieczeństw.



STARY CZŁOWIEK I...

...ojciec 24 dzieci. Mimo iż większość mieszkańców wysp deklaruje katolicyzm, nadal sporo mężczyzn, oprócz żony, „opiekuje się” jeszcze kilkoma kobietami.

CZEGO NIE WIDZIAŁ KAPITAN

– *Gdańsk? Gdynia? But of course! Pływaliśmy po ce-ment do Finlandii i bardzo często rozmawiałem przez radio z portem w Gdyni.* – Patrząc na postrzępione brzegi Fogo z kapitańskiego mostka promu płynącego do stolicy, umialiśmy naszemu gospodarzowi czas pogawędką, tym chętniej, że wspomniał po angielsku. Byliśmy nieco rozczerowani – nasz kapitan nigdy nie widział na tej trasie delfinów, a to właśnie morskie ssaki były jednym z powodów dla których zdecydowaliśmy się płynąć do stolicy przez ponad siedem godzin zamiast w niespełna pół godziny dolecieć lokalnymi liniami TACV.

Po przyspieszonym kursie sternika i obsługi instrumentów nawigacyjnych podziękowaliśmy za gościnę i wyszliśmy na pokład. Wokół niekończąca się woda, pofałdowana jak piaski pustyni. Nagle, przy samej lewej burcie, z oceanu wyskoczył delfin. Jak źle opłacony konferansjer pokazał się na sekundę, zakręcił w powietrzu młynka i zniknął w otchłani. Czekaliśmy.

Po chwili dwie szare torpedy jak na komendę wystrzeliły w górę i równo zanurkowały. Kolejne trzy popisały się przed nami pływaniem synchronicznym i już następne ścigały się ze statkiem, raz po raz parami i trójkami wyskakując z wody, jakby wyłącznie dla naszej przyjemności. Nie można było od nich oderwać wzroku. Mały ekran aparatu fotograficznego nie wystarczał, by nacieszyć się przygotowanym dla nas przedstawieniem – trudno, nie będzie zdjęć. Pan kapitan niestety stracił swoją szansę, podobnie jak większość pasażerów, która podróż spędziła pod pokładem, wśród pojękiwań dorosłych i cichych skarg nękanym przez chorobę morską dzieci.

ZEMSTA MURENY

Zadziwiające jak wielu mieszkańców Wysp Zielonego Przylądka źle znosi podróż statkiem, choć od pokoleń żyją otoczeni wodą. W nadmorskich miejscowościach ludzie żyją z tego, co daje im ocean. Sześć dni w tygodniu rybacy z Tarrafalu wypływają



PROSTO Z ŁODZI

Gwarne plażowe targowisko, gdzie rybacy sprzedają ryby lokalnym gospośm i handlarzom z głębi wyspy.



w morze, a siódmego naprawiają sieci. Z dokładnością inspektora skarbowego sprawdzają je, oko po oku, rozciągnięte w pobliżu plaży, a wszystkie szkody naprawiają z szacunkiem i namaszczeniem.

Kiedy łodzie przyplwają na brzeg, czekają już na nie kobiety w kolorowych chustach, z pustymi miskami na głowach. W innych wioskach jest łatwiej: mniej rybaków – więcej ryb. Tu, w Tarrafalu, ryb ciągle nie starcza. Trzeba więc jak najszybciej dostać się do łodzi i wyszarpać ile się da, by móc je potem sprzedać na pobliskim targu.

Blisko metrowa murena szczyrzyła na mnie zęby i nadal wyglądała groźnie.

– Poproszę jedną.

– Dos.

– Nie, dziękuję. Potrzebuję tylko jedną. Solo uno – próbowałem słów w jakimkolwiek języku, który byłby tu bardziej zrozumiały niż polski i angielski.

– Dos – tym razem i ryby, i sprzedająca je kobieta spojrzały na mnie wymownie. Okazało się, że sprzedaż jest wiązana. Albo dwie, albo wcale.

Przygotowując rybę, zdałem sobie sprawę,

że nawet martwa murena wciąż jest śmiertelnie niebezpieczna. Przy próbie zjedzenia choćby kawałka, setki ostrych jak szpile ości czyhały by przebić tchawicę... Więc będzie zupa. Przelana przez sitko okazała się i bezpieczna, i smaczna. Nawet nasz przyjaciel Bado – z zawodu kucharz – nie pogardził poczęstunkiem. Gdy spojrzał na talerz, jego oczy spytały o rybę. Przyniosłem na osobnym półmisku. Koniuszkami palców odrywał kawałki rybiego mięsa, a następnie wysysał spomiędzy ości wszystko, co nadawało się do jedzenia. Sprytnie.

Kiedy zaprosił nas na piknik na czarnej plaży, przyrządzone przez niego czerwone i błękitne ryby z wielkimi jak koła młyńskie oczami prawie nie miały ości. Nafaszerowane czosnkiem smakowicie skwierczały na ogniskowym żarze. My w tym czasie szykowaliśmy talerze z liści palmowych i szukaliśmy połówek kokosowych skorup na kubeczki.

Bado opowiadał o wylęgających się w czarnym piasku żółwiach oraz o ochotnikach, którzy raz do roku przychodzą na tę plażę, by małym, nieporadnym, żółwim noworodkom ratować życie.

WYGODNIE I Z GRACJĄ

Kobiety zachwycają piękną wyprostowaną sylwetką i tanecznym, lekkim chodem.

Mimo że mają tyle na głowie.



FOT. MACIEJ KUDŁA

W ZDROWYM CIELE

Gimnastyka, piłka nożna, capoeira i tańce na plaży to powszechne formy zajęć pozalekcyjnych dzieci i młodzieży.

Żółw (tartaruga) jest ikoną Cabo Verde i, mimo że występuje na rewersie jednego escudo, a na Santa Luzia – jedynej niezamieszkanego wyspie archipelagu – jest żółwi rezerwat, to te wspaniałe gady nie mają łatwego życia i potrzebują pomocy ludzi.

UWOLNIJ RĘCE

Jakże nieporadnie wyglądamy, my Europejczycy, z plastikowymi siatkami, płóciennymi torbami i koszkami na zakupy w rękach. Ręce muszą być wolne: rękoma się rozmawia i pozdrawia znajomych.

Od dźwigania jest głowa, a na niej pudełko kremu do rąk, maczeta do otwierania kokosa, niebie-

ska butla z gazem czy krzesło niesione do kościoła by zapewnić sobie siedzące miejsce. Głowa nada się też do transportu kosza z trzcina cukrową, chrusztu potrzebnego do ugotowania obiadu, kanistrów z drogocenną wodą lub sześciu tuzinów jaj w wytłaczankach.

Z zazdrością obserwowaliśmy pewnie kroczące postacie z „transportowymi głowami” i wyprostowanymi plecami. Te ostatnie również bywają zajęte – najmłodszy, którzy jeszcze nie potrafią chodzić, z anielskim uśmiechem wtulają się w plecy mam, obejmując je rękoma i nogami schowanymi w przepastnych chustach. Dziecko w spacerówce wzbudza współczucie: „Biedactwo, nie chodzi?”.

ŚWIADECTWO HAŃBY

Mieszkańcy Wysp Zielonego Przylądka są dumni ze swojej wolności i niepodległości. Jedyne portowy pręgierz przypomina o okrutnych czasach niewolnictwa.



FOT. MACIEJ KUDŁA

OBÓZ POWOLNEJ ŚMIERCI

Tory kolejowe w Auschwitz. Każdy dorosły Polak nosi ten obraz w pamięci. Przejście przez bramę do Campo da Morte Lenta w Tarrafalu na wyspie Santiago jest jak déjà vu, któremu towarzyszy myśl „to niemożliwe”. Tu, w tym raj na oceanie, taka sceneria zdaje się jak plan filmowy: wysoki mur chroniony drutem kolczastym, zakratowane okna, nazwiska zamordowanych, więzienne pasiały, bazaltowe kostki – ręcznie ciosane przez osadzonych. Przed wejściem do lecznicy ułożona z czarnej kostki data: 1940. Obóz Powolnej Śmierci służył portugalskiemu dyktatorowi Salazarowi do pozbywania się politycznych przeciwników reżimu. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych więziono tu afrykańskich przywódców ruchów walczących z portugalskim kolonializmem w Gwinei-Bissau, Angoli czy Mozambiku. Dziś to miejsce pamięci, które odchodzi w zapomnienie. ○

www.logostour.pl
801 011 864

 *LogosTour*
BIURO TURYSTYKI ZNP

Podróże na 7 kontynentów z LogosTour

Europa

Azja

Afryka

Australia

Ameryka Płn.

Ameryka Płd.

Antarktyda

Sprawdź naszą ofertę
ponad 150 tras
oferujących niezapomniane
przeżycia

ARGENTYNA – PARAGWAJ
– BRAZYLIA

PERU – BOLIWIA

INDIE – NEPAL

CHILE – ARGENTYNA
różne warianty

PANAMA – KOSTARYKA
– NIKARAGUA – HONDURAS
– GWATEMALA – BELIZE – MEKSYK

RPA
+ wycieczka do Suazi

INDIE
+ Rajasthan

ETIOPIA

INDONEZJA
Jawa – Lombok – Komodo – Bali

TAJLANDIA – MALEZJA
– SINGAPUR

KAMBODŻA – BIRMA
– TAJLANDIA

MEKSYK – KUBA

PODRÓŻE DLA KONESERÓW:

USA – NOWY JORK • JAPONIA • INDIE • USA – ALASKA



Znalazłem ostatnio bardzo inspirującą stronę pod nazwą „50 najbardziej inspirujących cytatów podróżniczych”.

MĄDROŚCI PODRÓŻNE



Większość cytatów była jak zużyta, a nawet przeżuta skarpeta (np. „Każda podróż ma swoje tajemne przeznaczenie, którego podróżnik jest nieświadomy” – Martin Buber), ale niektóre coś w sobie miały. Na przykład „Podróż jest jak małżeństwo. W momencie, gdy wydaje ci się, że wszystko jest pod kontrolą, na pewno zabłądziłeś” – John Steinbeck.

Ciekawe, choć moim zdaniem zgubienie drogi bywa inspirujące, nawet w małżeństwie, a w podróży jest wręcz nieodzowne („Turyści nie wiedzą gdzie byli, podróżnicy nie wiedzą dokąd jadą” – Paul Theroux), co mi przypomina postać słynnego polskiego podróżnika rowerzysty Kazimierza Nowaka, który przeżywa obecnie całkowicie zasłużony come back. Nowak przed wojną przejechał Afrykę z północy do Kapsztadu i z powrotem – nie tylko zresztą rowerem, również łodzią, koniem, wielbłądem, na piechotę, a czasem chyba podjeżdżał pociągiem, ale nie to w jego historii było najbardziej fascynu-

jące. Niezwykła była motywacja wyjazdu Nowaka. Otóż, jak sam twierdził, wyjechał, bo nie miał z czego utrzymać rodziny. Proszę sobie wyobrazić: przedwojenna Polska, biedny fotograf nie ma z czego wyżywić żony i dzieci i co mu przychodzi do głowy? A, przejadę rowerem Afrykę i porobię trochę zdjęć, może w ten sposób opłacę rachunki. Mógłby się zatrudnić na pocztę albo choćby w zakładzie fotograficznym, ale nie – dla niego jedynym sposobem wyjścia z kryzysu finansowego był wyjazd w nieznane („Nie wszyscy, którzy błądzą zgubili drogę” – J.R.R. Tolkien).

Dzieło Nowaka dopiero teraz dojrzewa na półkach księgarskich, ale niektórzy nie musieli tak długo czekać. Nie wszyscy nawet muszą podróżować, żeby pisać książki o nieznanym krajach. William Faulkner poszedł w pewnym sensie na łatwiznę, bo wymyślił co prawda nieistniejący powiat Yoknapatawpha, ale wszystko albo prawie wszystko o czym pisał widział na własne oczy, bo nigdy nie wyjeżdżał z Mis-

sissippi. Angielska XVII-wieczna pisarka Aphra Behn poszła w odwrotnym kierunku: twierdziła, że pisze o regionach świata, które widziała na własne oczy, choć nigdy w nich nie była. Wydała kilka książek o odległych krajach, takich jak Surinam. Co tam Surinam, nawet do Włoch nie dotarła, mimo że akcja kilku jej sztuk tam właśnie się toczy. Aphra Behn patronuje powszechnemu dziś gatunkowi podróżników kłamczuszków, którzy wymyślają swoje przygody, a potem chwalą się nimi w pismach podróżniczych i na festiwalach. Ich patronem jest również Benjamin Disraeli – „Jak wszyscy wielcy podróżnicy wiedziałem więcej, niż pamiętałem, a pamiętałem więcej, niż widziałem”.

Jednym z najcelniejszych spostrzeżeń, jakie znalazłem w pięćdziesiątce cytatów była myśl Aldousa Huxley’a – „Podróżować to znaczy odkryć, że każdy kto wypowiada się o innych krajach plecie bzdury”. Jakiś czas trwa, zanim podróżnik zrozumie, że słowo „każdy” użyte w tym zdaniu

dotyczy również jego samego, nieliczni dojrzejają jednak do tego odkrycia i potem nie chce im się opowiadać o swoich wyjazdach. Co oczywiście stawia pod znakiem zapytania samą ideę wyjazdu, który służy przecież temu, żeby potem mieć co opowiadać w towarzystwie.

Izraelski psycholog Daniel Kahneman, badacz pamięci i jej wpływu na poczucie zadowolenia z życia, zapytał kiedyś uczestników badania, ile zapłaciliby za wyjazd zagraniczny w wymarzone miejsce. Większość gotowa była płacić duże pieniądze. Następnie przeformułował zadanie pytając, ile zapłaciłbyś za wyjazd w wymarzone miejsce wiedząc, że wrócisz stamtąd bez żadnych zdjęć, ani nagrań, a nawet wspomnień. Zdecydowana większość uczestników w ogóle nie była zainteresowana wyjazdem. Jesteśmy tylko tym, co pamiętamy – zdaje się myśleć większość ludzi. „Zbyt często podróż, zamiast poszerzać umysł, przedłuża konwersację” – mówi Elizabeth Drew, a Henry Miller dodaje: „Twój punkt docelowy to nie jest miejsce, tylko nowe spojrzenie na rzeczywistość”.

Spojrzenie albo nowy zapach: „Podstawowym warunkiem poznania obcego kraju jest poczucie jego zapachu” – Rudyard Kipling. To jest genialna obserwacja: każdy obcokrajowiec przyjeżdżający do Warszawy powinien na granicy wsadzać nos do beczki z kapustą kiszoną, po przyjeździe do Paryża podróżni powinni być transportowani prosto do śmierdzącego metra. Londyn zawsze będzie mi pachniał pakistańskimi sklepami i hinduskim curry, a Bamako, Accra i kilka innych afrykańskich miast słodkim smrodem nieoprzynianych latami rynsztoków. A jeśli ci taki zapach przeszkadza, to mam w zanadrzu słowa amerykańskiego pisarza Cliftona Fadimana: „Podczas podróży pamiętaj, że obcy kraj nie jest wymyślony dla twojej wygody. On jest wymyślony dla wygody ludzi, którzy w nim mieszkają”.

Co mnie prowadzi do ostatniej myśli, cytatu z Carlo Goldoniego: „Mądry podróżnik nigdy nie gardzi własnym krajem”. Ja bym jeszcze dodał myśl własną, która na pewno kiedyś zostanie włączona do grona najsłynniejszych cytatów podróżniczych świata pod numerem 51.: „Z podróży najbardziej lubię powrót do domu”. Wiem, wiem – aż ciśnie się na usta pytanie: to po co w ogóle wyjeżdżałeś? Err... no właśnie, ciekawe pytanie.

W gronie autorów celnych podróżniczych cytatów zabrakło mi Kawafisa, największego poety podróży (mimo że przez całe życie nie ruszał się z Aleksandrii) i jednego z największych poetów po prostu. Kawafis w podróży – to jest to!

*Jeśli wyruszasz w podróż do Itaki,
pragnij tego, by długie było wędrowanie,
pełne przygód, pełne doświadczeń.
Lajstrygonów, Cyklopów, gniewnego Posejdona
nie obawiaj się. Nic takiego
na twojej drodze nie stanie, jeśli myśłą
trwasz na wyżynach, jeśli tylko wyborne
uczucia dotyczą twego ducha i ciała.
Ani Lajstrygonów, ani Cyklopów,
ani okrutnego Posejdona nie spotkasz,
jeżeli ich nie niesiesz w swojej duszy,
jeśli własna twa dusza nie wznieci ich przed tobą.*

*Pragnij tego, by wędrowanie było długie:
żebyś miał wiele takich poranków lata,
kiedy, z jaką uciechą, z jakim rozradowaniem,
będziesz podpływał do portów, nigdy przedtem niewidzianych;
żebyś się zatrzymywał w handlowych stacjach Fenicjan
i kupował tam piękne rzeczy,
masę perłową i koral, bursztyn i heban,
i najróżniejsze, wyszukane olejki —
ile ci się uda zmysłowych wonności znaleźć.
Trzeba też, byś egipskich miast odwiedził wiele,
aby uczyć się i jeszcze się uczyć — od tych, co wiedzą.*

*Przez cały ten czas pamiętaj o Itace.
Przybycie do niej — twoim przeznaczeniem.
Ale bynajmniej nie śpiesz się w podróży.
Lepiej, by trwała ona wiele lat,
abyś stary już był, gdy dobijesz do tej wyspy,
bogaty we wszystko, co zyskałeś po drodze,
nie oczekuj wcale, by ci dała bogactwo Itaka.*

*Itaka dała ci tę piękną podróż.
Bez Itaki nie wyruszyłbyś w drogę.
Niczego więcej już ci dać nie może.*

*A jeśli ją znajdujesz ubogą,
Itaka cię nie oszukała.
Gdy się stałeś tak mądry,
po tylu doświadczeniach,
już zrozumiałeś, co znaczą Itaki.
(Itaka, tłum. Zygmunt Kubiak)*





FOT. ANDRZEJ JEDER



Andrzej Bober

KRAJ BOSKIEGO KIMA

Osiem lat temu zainteresowałem się Koreą Północną. Po latach zbierania informacji, ich porządkowania i analizy, zdecydowałem się na wyjazd do tego skansenu komunizmu i starania te opłaciły się. Trzy miesiące później znalazłem się na terytorium Koreańskiej Republiki Ludowo-Demokratycznej.



Po przeładkach w Moskwie i Pekinie ląduję w kraju, który dotychczas znałem jedynie z książek, filmów i komentarzy prasowych. Cała przygoda rozpoczyna się już na lotnisku Sunan, oddalonym około 25 kilometrów od stolicy reżimowej Korei – Pjongjangu (zwanego dawniej Phenianem). Zaraz po rozpoczęciu procedury kontrolnej okazuje się, że wiza, którą wystawiono mi w Warszawie, utraciła swoją ważność, choć we wniosku wizowym wyraźnie zazaczyłem ramy czasowe planowanego pobytu w KRLD. Zdezorientowany dopytuję się, o co chodzi, myśląc, że doszło do jakiegoś nieporozumienia. Gesty pograniczników nie pozostawiają wątpliwości. Wyraźnie wskazują mi samolot i dają do zrozumienia, żebym się zabierał, zanim samolot nie wystartuje w trasę powrotną do Pekinu. Warto w tym miejscu zauważyć, że samolot przylatujący z Pekinu ląduje jedynie na chwilę, nie tankując nawet, po czym odlatuje z powrotem do Chin. Nie wierzę w to, co słyszę. Na szczęście na lotnisku oczekuje mnie przedstawiciel naszej placówki dyplomatycznej wraz z koreańskim tłumaczem znającym język



polski, którego umownie będę nazywał Park, by nie zdradzać jego prawdziwych personaliów i w jakiś sposób mu nie zaszkodzić. Obserwując całą sytuację z boku, konsul podejmuje się twardej dyskusji z oficerem, który odmawia mi prawa wjazdu. Po dwugodzinnych pertraktacjach udaje mi się dostać na terytorium tego „robotniczego raj na Ziemi”.

Teraz już procedura kontrolna przebiega dość szybko. Jeszcze przed wylotem wiedziałem, że im mniej wezmę rzeczy budzących wątpliwości, tym mniej stresów będzie na miejscu. Komórkę grzecznie oddaję w depozyt – odbiorę ją dopiero przed wylotem. Sporo problemów jest z moim laptopem. Strażnik pyta o każde gniazdo. Na szczęście, bez sprzeciwu przyjmuje odpowiedź, że wszystko to porty USB. Inny strażnik sprawdza czy ilość pieniędzy, które mam w saszetce, zgadza się z tym, co napisałem w deklaracji wjazdowej. Na tym kończy się kontrola. Wsiadamy do auta i ruszamy w kierunku trzymilionowej stolicy.

MIASTO PIERWSZEJ KLASY

Jadąc szeroką jezdnią, bez wymalowanych pasów ruchu, mijamy pojazdy z innej epoki. Jednym z nich jest amerykański willys – dżip z okresu II wojny światowej w wersji cabrio. W środku obok kierowcy na stojąco jedzie kilkusobowa grupka, trzymająca się razem, by nie wypaść. Obraz szokuje tym bardziej, że pojazd jedzie 90 km/h, dodatkowo na zewnątrz pada śnieg, a temperatura jest wyraźnie ujemna. Kilka kilometrów dalej widzę „wojskową” wywrotkę, jakiej używa się do wywozu gruzu, a w niej kolejną grupę



FOT. ANDRZEJ BOBER

Budynek Ludowego Pałacu Nauki (Biblioteki Narodowej) nieopodal placu Kim Ir Sena, na którym odbywają się wszystkie największe parady wojskowe i ludowe zgromadzenia.

podróżnych – tym razem żołnierzy. Na rogatkach miasta znajdują się punkty kontrolne, gdzie strażnicy uzbrojeni w broń automatyczną sprawdzają wszystkich wjeżdżających i wyjeżdżających ze stolicy. Pjongjang jest bowiem miastem wybranym, miejscem szczególnym. Przywilej mieszkania w nim posiada zaledwie 12% społeczeństwa północnokoreańskiego, które podzielone jest na 3 klasy główne i 51 podklas. Prawo do życia w tej względnej, jak na tamtejsze standardy, oazie mają jedynie obywatele klasy pierwszej, tej właściwej. Przynależąc do pozostałych klas, można zapomnieć



o życiu w stolicy, o przyzwoitej pracy, lepszych warunkach lokalowych, przydziałach kartkowych wystarczających do przeżycia, studiach na miejscowym Uniwersytecie im. Kim Ir Sena czy jakiegokolwiek karierze zawodowej. Rodząc się w rodzinie już drugiej klasy, niezależnie od wykazywanych zdolności i wykonywanej pracy, można zapomnieć o awansie społecznym.

Miasto przynębia. Wszystkie budowle sprawiają wrażenie ciężkich. Po wojnie koreańskiej w stolicy ostało się zaledwie kilka budynków. Naprędce wzniesiono nowe, zarówno mieszkalne, jak i użyteczności publicznej, bez szczególnej dbałości o ich estetykę, wykonanie czy rozplanowanie w terenie. Pjongjang mógł robić wrażenie na turystach odwiedzających to miejsce jeszcze 30 lat temu, jednak od tego czasu niewiele się

w nim zmieniło. Wraz z upadkiem ZSRR skończył się okres rozkwitu Korei Północnej, a nieremontowane od lat budynki popadły w ruinę i straszą swoim wyglądem. Poobdzierane bloki, tynk odchodzący płatami, brak szyb w wielu oknach i wystające niemal z wszystkich mieszkań rury odprowadzające na zewnątrz dym – to obraz tego, co dziś pozostało. Każdy z lokali jest osobno ogrzewany przez lokatorów, stąd owe rury. Zdarzają się przypadki zamrażnięć w mieszkaniach – w większości budynków stare i nieszczelne okna nie są w stanie utrzymać w okresie zimowych przymrozków dodatniej temperatury w pomieszczeniach. W większości budynków brakuje nie tylko bieżącej wody, ale i gazu czy prądu, fekalia zaś składowane są przed blokami, by po wywiezieniu poza miasto użyźnić pola.





Z robieniem zdjęć muszę uważać. Obowiązuje zasada – nie fotografować: obiektów brzydkich, sytuacji kłopotliwych, widocznej biedy. Złamanie tej reguły skutkuje w najlepszym razie natychmiastowym wydaleniem z kraju. Tak więc, po aparat sięgam sporadycznie przy monstrualnych budowlach, z których Koreańczycy są dumni.

Niemal wszystko zaskakuje. Na skrzyżowaniu moją uwagę zwraca stojący obok autobus. Nie dziwi mnie już ani ścisk w nim panujący, ani jego stan techniczny, ani zabytkowy wygląd. Uwagę zwracają wymalowane farbą na tyle pojazdu światła pozycyjne, stopu i kierunkowskazu, imitujące prawdziwe światła, których brak. Bywa też tak, że zamiast świateł drogowych autobus posiada zainstalowaną nad zderzakiem jarzeniówkę. Moje równie duże zdziwienie budzą rowery, do których przymocowane są mininumery rejestracyjne. Przez ponad miesiąc nie spotykam ani jednej kobiety na jednoślądzie. Jak się potem okazuje, nie mają do tego uprawnień, zaś reżim tłumaczy to względami estetycznymi i bezpieczeństwem ruchu.

PIES JAKO LEK I KOT JAKO SZPIEG

Co ciekawe, na ulicach nie ma psów. Mało kogo stać na to, by wyżywić jeszcze czworonoga. Poza tym, w kulturze koreańskiej pies od zawsze uważany był za hodowlany produkt spożywczy, choć oczywiście mowa o jednej rasie. Danie z psa (kor. kegogi lub tangogi) w restauracji dyplomatycznej w stolicy kosztuje 25 euro. Psie mięso posiada tu szerokie zastosowanie. Używane jest do leczenia różnych schorzeń czy dla wzmocnienia odporności immunologicznej organizmu. Do dziś powtarza się w KRLD jedno z przysłów, które mówi, że zdrowym pozostanie ten, kto przynajmniej raz w roku zje psa.

Koty nie mają łatwiejszego życia, ale nie są zjadane – przepisuje się je na reumatyzm. W dodatku, osiągając wiek trzech lat, oddawane są najczęściej do innego gospodarstwa, gdyż przyjmuje się, że po tym czasie zaczynają rozumieć język rodziny, w której się znajdują, a nikt nie życzy sobie w KRLD szpiega w rodzinie.

TAJEMNICZY OPIEKUN

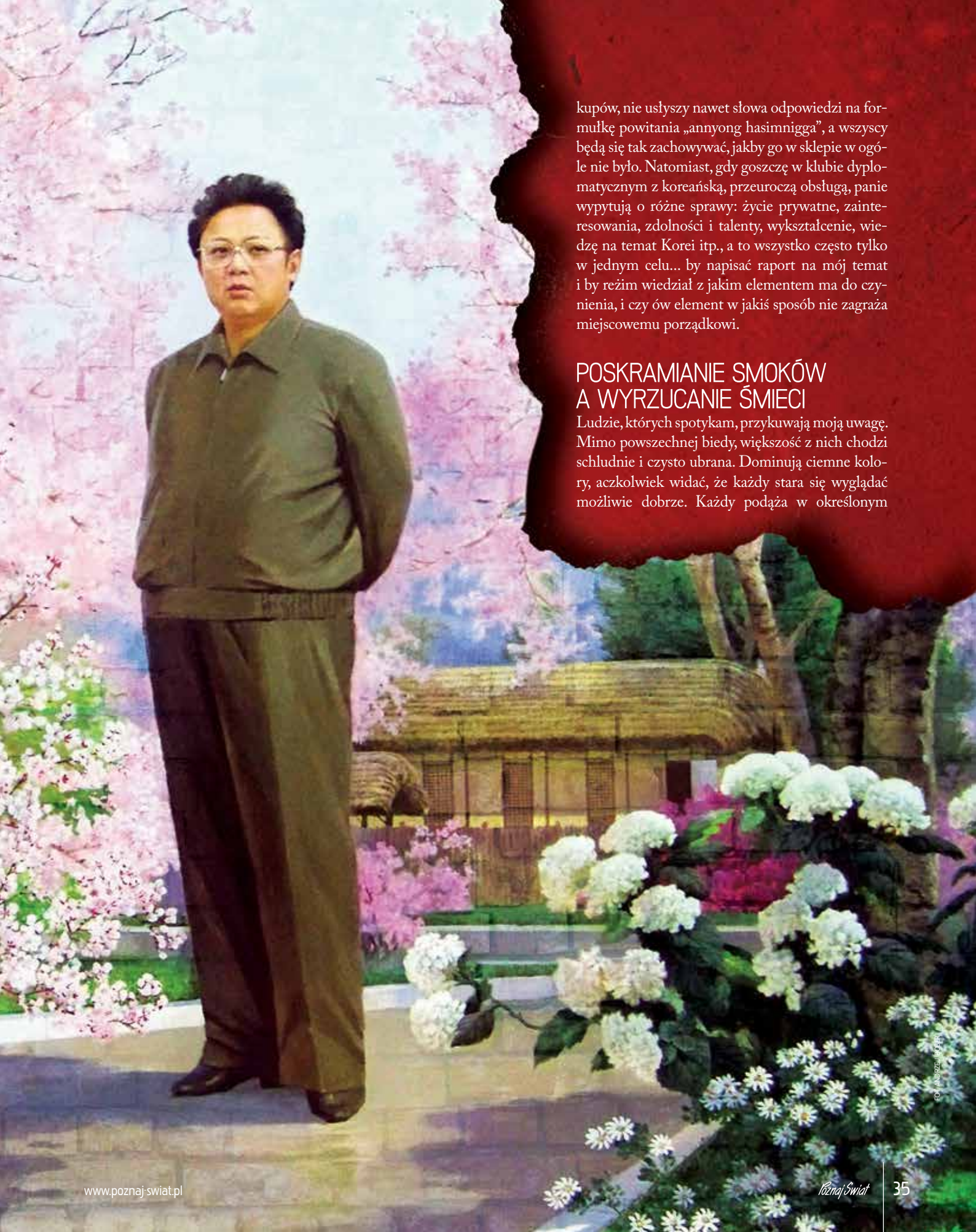
Spacerując całymi dniami po mieście, zaczynam poznawać je coraz lepiej. Nie udaje mi się jednak wtopić w tłum. Choć nie mam przypisanych żadnych opiekunów, wszyscy mijający rzucają mi nieufne bądź zaskoczone spojrzenia. Są jednak i tacy, którzy wyraźnie okazują niechęć czy jawną wrogość, spluwając na mój widok. Jeszcze inni reagują początkowo niezrozumiałym dla mnie strachem.

Ni stąd, ni zowąd przechodzą na drugą stronę ulicy bądź unikają wymiany spojrzeń. Podobną wielość reakcji obserwuję przy pozdrowieniu. Mimo strachu, większość jednak uśmiecha się życzliwie lub z zawstydzeniem. Z czasem przestaję zwracać uwagę na mijane osoby. Absolutnie nie podaję ręki, by wszechobecny aparat безпеki nie zinterpretował tego w sobie tylko zrozumiały sposób, np. jako próbę wymiany informacji. Pewne twarze zapisują mi się w pamięci i przypadkowo spotykam je w różnych punktach miasta. Nie czuję się samotny.

W miejscach, w których się pojawiam i mogę przebywać, budzę żywe zainteresowanie, jednak u większości zwykłych obywateli widać zmieszanie. Zgoła odmiennie zachowują się wyżsi urzędnicy i wojskowi. Oni okazują swoją wyższość, aczkolwiek pozostają wobec mnie grzeczni. Nie wszędzie wolno mi wejść. Tam gdzie białe nie może robić za-



Zdjęcia z wystawy kimdzongilii w Pjongjangu wykonane w lutym 2009 roku podczas obchodów oficjalnych 67. urodzin Kim Dzong Ila.



kupów, nie usłyszysz nawet słowa odpowiedzi na formułkę powitania „annyong hasimnigga”, a wszyscy będą się tak zachowywać, jakby go w sklepie w ogóle nie było. Natomiast, gdy gościsz w klubie dyplomatycznym z koreańską, przeuroczą obsługą, panie wypytują o różne sprawy: życie prywatne, zainteresowania, zdolności i talenty, wykształcenie, wiedzę na temat Korei itp., a to wszystko często tylko w jednym celu... by napisać raport na mój temat i by reżim wiedział z jakim elementem ma do czynienia, i czy ów element w jakiś sposób nie zagraża miejscowemu porządkowi.

POSKRAMIANIE SMOKÓW A WYRZUCANIE ŚMIECI

Ludzie, których spotykam, przykuwają moją uwagę. Mimo powszechnej biedy, większość z nich chodzi schludnie i czysto ubrana. Dominują ciemne kolory, aczkolwiek widać, że każdy stara się wyglądać możliwie dobrze. Każdy podąża w określonym

celu. Zająć obywatelom tego reżimu nie brakuje. Oprócz 8-godzinnego dnia pracy, obowiązkiem jest uczestnictwo w szkoleniach ideologicznych, seansach samokrytyki, przygotowaniach do defilad lub praca w czynie społecznym. To angażuje kolejne 8 godzin doby. Pozostała część przewidziana jest na sen, o ile dwie pierwsze się nie przedłużą.

Obserwuję wielu idących, pogrążonych w tekstach Kim Ir Sena i Kim Dzong Ila – dwóch najważniejszych, choć nieżyjących już postaci tego reżimu, mających status boski. A jest co czytać, gdyż jeden i drugi demiurg, jak głosi propaganda, są autorami około 11 tysięcy monografii. Koreańczycy są inteligentni, żywo reagują na słowa, ale nie uczy się ich operacyjnego myślenia. Zamiast tego, zmusza się ich do wykuwania „na blaszkę” różnych frazesów, historii z życia Wielkiego Wodza i Ukochanego Przywódcy. Sprawiają wrażenie zautomatyzowanych istot, działających intuicyjnie i odruchowo. Aparat propagandy aż tak mocno zmienił ich mentalność, psychikę i odbiór rzeczywistości, że czasami miewają problem z samodzielnym myśleniem i wykonywaniem nawet podstawowych prac. Widzę pracowników wywożących śmieci, którzy ładują je na sam tył ciężarówki, choć swobodnie można zacząć załadunek od przodu, tak by więcej weszło. Po wysypaniu kilku pojemników okazuje się, że brakuje miejsca na resztę. Ale jak tu się dziwić, że obywatele reżimu mają problem z samodzielnym, analitycznym myśleniem, jeśli propaganda na co dzień zmusza ich, by uwierzyli w boskie talenty Kim Dzong Ila, w jego dar bilokacji, umiejętność podróżowania w czasie, kontrolowania pogody, uzdrawiania chorych, wykonywania nawet siedmiu rzeczy równolegle, poskramiania smoków i wypędzania demonów. Jak mają odbierać rzeczywistość ludzie, którzy codziennie słyszą doniesienia o cudownych zjawiskach związanych z osobą nieżyjącego „Słońca XXI wieku”? A dowodów na to, jak nadzwyczajną był jednostką, nie brakuje i po śmierci, którą od wielu tygodni oplakują w stolicy nawet sroki.

OKRUCIEŃSTWA „CYRKU”

Po każdym pełnym wrażeń i obserwacji dniu, wreszcie jest czas, by się zrelaksować przed telewizorem. Po godzinie 18 w zasadzie wszystko w kraju jest pozamykane. Od 17 do 23 nadaje jeden kanał TV, a przy okazji świąt nawet dwa. Zobaczyć można obrady parlamentarne, raporty o wydajności ekonomicznej kraju, usłyszeć patriotyczne pieśni



DT ANDRZEJ BOBER



wojskowe, materiały filmowe z kolejnych inspekcji Kima albo w programie kulinarnym dowiedzieć się, jak ugotować zupę z kory drzewa.

Gdy wracam myślami do tego miejsca, czuję ogromny szacunek dla ludzi tam żyjących i podziw dla ich odporności. Coraz większa ich część ma świadomość, że gdzieś poza granicami ich robotniczego raju istnieje inna rzeczywistość, w której życie może być normalne. Jednak obywatele reżimu Kimów od małego, jak zwierzęta w cyrku, przyzwyczajani są do warunków totalnego zniewolenia i tresury. Koreańczycy z Północy odczuwają na co dzień te same emocje, które i nam w życiu towarzyszą: strach, niepewność, ból, ale też radość lub satysfakcję. Pisząc bądź mówiąc o nich, starajmy się o tym pamiętać. ○

Andrzej Bober – ekspert ds. Korei Północnej, Wydziału Studiów Międzynarodowych i Politologicznych Uniwersytetu Łódzkiego, członek Korea Forum i AKSE, autor ponad 70 artykułów naukowych i publicystycznych z zakresu problematyki koreańskiej, podróżował po obu Koreach.

Witaj, pani masko!

FOT. SHUTTERSTOCK

Tradycja karnawału w Wenecji sięga XI wieku, kiedy miasto było jedną z potęg rejonu Morza Śródziemnego. Nazwa „karnawał” pochodzi od łacińskiego wyrażenia carrus navalis – wozu w kształcie okrętu, który w starożytnym Rzymie prowadzono na czele pa-

radę podczas uroczystości na cześć boga płodów i wina, Bachusa. Był to wówczas okres wyuzdanych zabaw, tańców, orgii, biesiad, bali przebierańców i maskarad. Czasy Rzymskiego Imperium przeminęły, ale tradycja organizowania hucznych zabaw przetrwała. Choć bliskość Rzymu

wymuszała posłuszeństwo wobec papieża, w Wenecji panowała wolność religijna i swoboda obyczajowa. Karnawał stał się więc czasem wyzwolenia z wszelkich konwenansów i zasad. Stosując maskaradę, można było do woli żartować czy przedrzeźniać innych.

Istotnym elementem ubioru bawiących się zawsze były maski – pomysł zaczerpnięty ze starożytnego teatru. Dzięki maskaradzie zacierają się wszelkie różnice między mieszkańcami Wenecji – niezależnie od społecznej pozycji, płci czy religii wszyscy stawali się równi. Przez to, że nie wiadomo było, kto ukrywa się pod przebraniem, obowiązywało jedno pozdrowienie dla wszystkich: „Buongiorno, signora maschera (Witaj, pani masko!)”. Aby nie wykorzystywać jednak bycia anonimowym do popełniania oszustw, nocą zakazywano chodzenia w maskach. Nie wolno było też w nich wkraczać do miejsc kultu religijnego, gdyż przebrani



FOT. SHUTTERSTOCK

za kobiety mężczyźni zbyt często przemykali się do żeńskich zakonów. Zakaz noszenia masek obowiązywał również prostytutki.

Szczyty świetności wenecki karnawał przeżywał w czasie renesansu. W XVIII wieku karnawałowa maskarada stała się tak popularna, że rozpoczynała się już w październiku, co czyniło z weneckich zabaw najdłuższą trwającą karnawał na świecie. Gdy w 1797 miasto zagarnęły Austro-Węgry – karnawałowe świętowanie ustało na prawie 200 lat. Do kalendarza weneckich imprez wróciło ono dopiero pod koniec lat 1970.

Karnawał w Wenecji zawsze rozpoczyna się w drugi dzień Świąt Bożego Narodzenia. Na inauguracji znani mieszkańcy popisują się odwagą, wykonując tzw. lot anioła i zjeżdżając wzorem dawnych akrobatów z dzwonnicy. Ulice Wenecji zapełniają się wówczas artystami, muzykami, kuglarzami w kolorowych maskach i barwnych przebraniach. Uczestnicy przygotowują specjalnie na tę okazję stroje karnawałowe niezwykle bogato zdobione, pełne przepychu, mieniące się złotem, nierzadko wyuzdane. Ich częstym elementem są pióra. „Wszędzie pełno jest konfetti i przebierańców z całego świata. Ulicami

spacerują turyści z maskami na twarzach i prawdziwi Wenecjanie jakby żywcem przeniesieni z innych epok. W kawiarniach siedzą „osiemnastowieczne” hrabiny i księżęta w perukach. Przy zejściu do gondoli papierosa pali papież, a obok przechodzi Gioconda w złotej ramie. Kicz miesza się ze sztuką, a tradycja z nowoczesnością”. Jednak największa zabawa przewidziana jest na zakończenie karnawału, w ostatni tydzień poprzedzający początek Wielkiego Postu. W niedzielę przed Tłustym Czwartkiem tłum przebierańców rusza spod Arsenału pod Bazylikę św. Marka. Pochodowi przewodzą Doża i Biskup Wenecji. Punktem kulmina-

cyjnym jest wielki bal na Placu św. Marka, w tym roku będzie to 21. lutego.

Współczesnych Wenecjan najczęściej można spotkać przebranych za tradycyjne postaci z XVI-wiecznej commedia dell'arte. Najpopularniejsze postaci z tych przedstawień to Arlecchino, Arlecchina i Colombina. Innym znanym rodzajem weneckiego kostiumu jest Bauta, ubrana w czarną pelerynę z kapturem, trójkątny kapelusz i białą maskę. Dolna część maski zwykle jest odchylona, dzięki czemu jej właściciel nie musi jej ściągać do jedzenia czy picia. Kiedyś bardzo popularne dla weneckiego karnawału były przebrania Gnagi i Moretta. To pierwsze przebranie – kobiece – zakładali mężczyźni. Składało się z damskiej sukni, maski kota i koszyeczka, w którym często miauczało żywe stworzenie. Gnaga odgrywała rolę piastunki i często otoczona była innymi mężczyznami przebranymi za dzieci. Z kolei, kobiety często przebierały się za Morettę, korzystając z czarnej, aksamitnej maski. Figura była niema, gdyż maska była od wewnątrz przytrzymywana ustami. Dziś tych strojów już się nie widuje.

Koniec karnawałowych uciech obwieszcza w Środę Popielcową dzwony bazyliki na Placu św. Marka. (dm)





WŁÓCZYKIJ, najlepszy przyjaciel Muminka

nich, pasjonatów wypraw rowerowych, autostopowiczów, a także etnografów, reportażyistów, regionalistów oraz historyków. Festiwal odwiedzi ponad 100 podróżników z całej Polski, m.in. Jacek Hugo-Bader przy okazji „Dzienników kołymskich”, Dariusz Rosiak – dziennikarz radiowej Trójki prowadzący w soboty program „Raport o stanie świata”, autor „Żaru. Oddechu Afryki” i felietonów do miesięcznika *Poznaj Świat*, Wojciech Górecki – jeden z najciekawszych specjalistów od Kaukazu, autor znakomitych książek „Planety Kaukaz” oraz „Toast za przodków”.

Główne punkty programu to spotkania z podróżnikami połączone z pokazami filmów, slajdów oraz fotografii, a także prze-

gląd profesjonalnych długometrażowych filmów z odległych i egzotycznych zakątków świata. W programie *Włóczykija* znajdują się ponadto degustacje potraw „kuchni świata”, koncerty alternatywnych zespołów, warsztaty, wystawy, a także dwa rajdy na orientację – zimowy ekstremalny pieszy rajd „Włóczykij Trip Extreme” (50 i 100 km) zaliczany do Pucharu Polski Maratonów na Orientację oraz Gra Miejska „Zakrzywienie Czasoprzestrzeni”.

Festiwal odbywa się w kilku miejscach jednocześnie. *Włóczykij* stwarza również wyjątkową okazję do wędrowania po nieznanym obszarze Polski zachodniej. Jednym z punktów programu są wycieczki po regionie i dodatkowe historyczno-krajoznawcze prezentacje w pobliskich miejscowościach.

Strona internetowa festiwalu:
www.wloczykij.com

WGryfinie, w terminie 23 lutego do 4 marca 2012, odbędzie się szósta edycja festiwalu podróżniczego *Włóczykij*. Na festiwalu przecinają się szlaki alpinistów, miłośników sportów ekstremal-

Powiedział Bartek, że dziś tłusty czwartek

...a Bartkowa uwierzyła, dobrych pączków nasmażyła – mówi staropolskie przysłowie. Tłusty czwartek rozpoczyna ostatni tydzień przed Wielkim Postem. Polska tradycja nakazuje, aby tego dnia objadać się ponad miarę. Najpopularniejsze przysmaki to pączki i faworki, znane w niektórych regionach jako chrust, chruściki lub kreple (na Śląsku). Przyjęło się, że jeśli ktoś w tłusty czwartek w ogóle nie zje pączka, nie będzie się mu wiodło.

Dawniej, przyrządzając pączki, nadziewało się niektóre migdałami lub orzechem. Wierzono, że kto na taki trafi, będzie mieć w życiu szczęście. Objadano się także pączkami nadziewanymi słoniną, boczkiem i mięsem, które suto zapijano wódką.

Z kolei, faworki funkcjonują w polskiej, niemieckiej i litewskiej tradycji kulinarnej. To chrupkie ciastka o słodkim smaku, w kształcie złożonej kokardki, smażone i posypywane cukrem pudrem. Wyrabiane są z ciasta śmietanowego zbijanego i smażone jak pączki. Z takiego samego ciasta robi się także tzw. róże karnawałowe, w których układa się wisienkę lub konfiturę z dzikiej róży.

Podobno faworki powstały przez przypadek, kiedy poczynający cukiernik podczas smażenia pączków niechcący wrzucił do rozgrzanego oleju wąski pasek ciasta na pączki. Po reprimendzie wyjął kawałek, który ukształtował się w warkocz, i posypał go cukrem. Faworki wyrabiane z ciasta na pączki były dość ciężkie. Dopiero później mistrzowie dopracowali formułę ciasta, tak by wysmażony faworek był cieniutki i chrupiący.



FOT. SHUTTERSTOCK

Dzika przyroda w obiektywie

Każdego roku dwie brytyjskie instytucje, szczycące się dokonaniami w odkrywaniu, propagowaniu i ochronie różnorodności życia na Ziemi – Muzeum Historii Naturalnej w Londynie i BBC Wildlife Magazine – organizują pokonkursową prezentację najlepszych na świecie fotograficznych przedstawień natury. Konkurs Wildlife Photographer of the Year jest największym i najbardziej prestiżowym w świecie w dziedzinie fotografii przyrodniczej. Prace przedstawiane na wystawie wybrano spośród 40 tys. zdjęć nadesłanych przez 4300 fotogra-
fów (w tym 78 fotografów z Polski). Wystawa ukazuje wspaniałość, dramaturgię i różnorodność życia na Ziemi oraz inspirowała coraz to nowe pokolenia do tworzenia wizjonerskich i pełnych ekspresji fotograficznych interpretacji Natury.

Fotograf, który wykonał zdjęcie najbardziej zachwycające i zapadające w pamięć, otrzymuje oficjalny



© DAVID LLOYD, NOWA ZELANDIA, „Machnięcie ogonem” - fragment

organizator wystawy:

ZE4ART

tytuł Fotografa Dzikiej Przyrody. Po raz kolejny w historii wystawy, znajdują się na niej zdjęcia – dwa – wykonane przez polskich fotografów, w tym fotografia, która uznana została za najlepszą w kategoriach młodzieżowych.



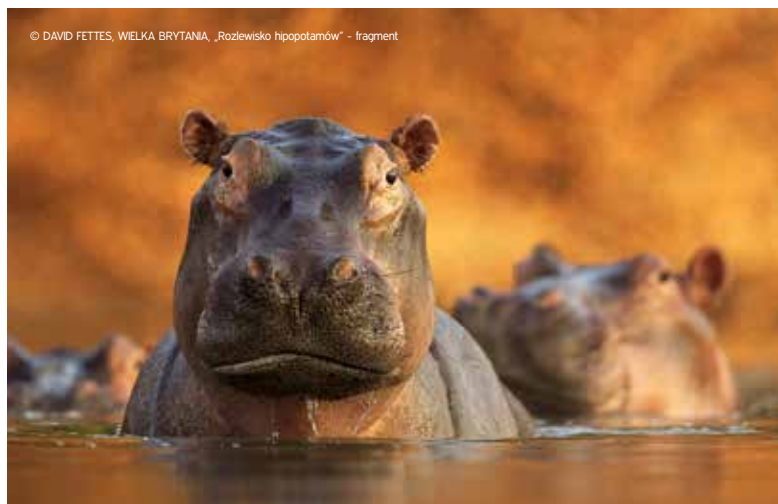
© CYRIL RUOSO, FRANCJA, „Malerka rozgrzewka” - fragment

Wszystkie fotografie ukazują nie tylko ogromną różnorodność naturalnego świata, ale także uświadamiają, jak wiele talentu artystycznego i cierpliwości potrzeba, aby zostać światowej klasy fotografem dzikiej przyrody. Wystawa w 2012 roku trafi w Polskę do 12 miast.

FOTOGRAFIA DZIKIEJ PRZYRODY 2011

Kalendarium na rok 2012 r.

- 5-29.01 – Wschowa, Muzeum Ziemi Wschowskiej, pl. Zamkowy 2
- 2-26.02 – Bytom, Muzeum Górnośląskie, pl. Jana III Sobieskiego 2
- 2-28.03 – Szczecin, Muzeum Narodowe, ul. Wały Chrobrego 3
- 2-29.04 – Bielsko-Biała, Galeria Bielska BWA, ul. 3 Maja 11
- 3-29.05 – Szklarska Poręba, Karkonoski Park Narodowy, ul. Okrzei 28
- 2.06-1.07 – Łódź, Miejska Galeria Sztuki, ul. Piotrkowska 113
- 6-29.07 – Jelenia Góra, Muzeum Przyrodnicze, ul. Wolności 268
- 3-29.08 – Zakopane, Tatrzański Park Narodowy, ul. Chałubińskiego 42
- 3-30.09 – Olsztyn, BWA Galeria Sztuki, al. Piłsudskiego 38
- 4-28.10 – Warszawa, Muzeum Ziemi PAN, al. Na Skarpie 27
- 6-29.11 – Wrocław, Muzeum Miejskie, Ratusz, ul. Sukiennice 14/15
- 5-30.12 – Bydgoszcz, Muzeum im. Leona Wyczółkowskiego, ul. Grodzka 7-11



© DAVID FETTES, WIELKA BRYTANIA, „Rozlewisko hipopotamów” - fragment

A photograph of a woman from behind, wearing a tiara and a dark dress, looking out over a crowded ballroom. The background is filled with blurred lights and people, creating a bokeh effect. The scene is dimly lit, with warm, golden light from the ceiling fixtures.

Cesarstwo karnawału

Elżbieta Pawełek

Panie w sukniach do ziemi, dżentelmeni we frakach – Wiedeń zadaje szyku. Na słynnych balach w pałacu Hofburg i Operze bawi się świat biznesu i polityki, ale wszyscy patrzą na gwiazdy z pierwszych stron gazet. Tańczy się jive'a, sambę i cha cha, ale przede wszystkim nieśmiertelnego walca!

BAL IMPERIAL

Co roku w sylwestra, w Hofburgu organizowany jest tradycyjny Bal Cesarski. Sam Pałac cieszy się wielkim wzięciem w czasie całego karnawału.



W karnawale Wiedeń ogarnia szaleństwo zabawy. W słynnym „trójkącie bermudzkim” – rejonie ulic Rabenstein, Ruprechtplatz i Seitenstettengasse, gdzie roi się od klubów, barów i dyskotek – życie zaczyna tętnić dopiero o północy. Obok szumi Dunaj, ale panuje atmosfera jak w upalną noc brazylijską. Nie ma tygodnia bez głośniejszej imprezy. Wystarczy spacer uliczkami starego Wiednia, jarzącymi się od świątecznych lampek, odrobina grzanego wina i dobry nastrój, by wmieszać się w kolorowy tłum i bawić do późna w nocy. W kawiarniach sączy się klubowa muzyka. Przy linii metra U2, tuż przy Karlsplatz, na świetlnej tablicy pojawia się napis, że w ostatnim tygodniu 25 tysięcy wiedeńczyków wymienilo się pocałunkami. A może to było 125 tysięcy? Jesteśmy pod dobrym adresem.



MISS BONBON

Gazety donoszą o ponad 300 balach, na które warto się wybrać. Nic dziwnego, że Wiedeń nazywany jest karnawałową stolicą Europy. Najważniejszy to Bal Cesarski, który odbył się z końcem grudnia,



FOT. WIENNA TOURIST BOARD

jednak najbardziej wyczekiwany jest Bal w Operze (Opernball) – zawsze w ostatni czwartek karnawału. W tym czasie bawią się wszystkie branże. Myśliwi mają swój Jagerball, prawnicy – Juristenball, kwiaciarze – Blumenball, cukiernicy – BonbonBall. Ten ostatni odbywa się w okazałym budynku Wiener Konzerthaus, gdzie gospodarzami są Symfonia Wiedeńska. Spośród uczestniczek jury wybiera Miss Bonbon, po czym szykuje wygraną – słodczyce mające ważyć tyle samo, co zwyciężczyni.

Największą wytworną imprezą całego karnawału, na 5,5 tysiąca osób, jest Bal Właścicieli Kawiarni, Kaffeesiederball, w przepięknie na ten wieczór udekorowanym Hofburgu. To ulubiony bal naszej przewodniczki, Ewy Draxler, i jedyny, na który udało się nam zdobyć zaproszenia. Pod

Pałac Cesarski podjeżdżają limuzyny, z których wysiadają dostojni goście: burmistrz Wiednia z żoną, księżę Franciszek Fryderyk, japońska księżniczka Mikoko, ambasadorzy osiemnastu państw... Panie w bajecznych sukniach w stylu Yves'a Saint Laurenta czy Prady, a jedna w kreacji z żywych kwiatów. Panowie obowiązkowo we frakach. W sukurs tym, których nie stać na własne kreacje, idzie ponad tysiąc wiedeńskich wypożyczalni strojów. U Very Billiani przy Auhofstrasse fraki dostępne są już po 190 euro, a ceny ciekawych kreacji dla dam zaczynają się od 200. A do tego ogromny wybór boa, woali, kapeluszy i sztucznej biżuterii.

Miłym akcentem przy wejściu na bal jest upominek. To zwyczaj jeszcze z połowy XIX w., jak mówi Eva. W czasach monarchii damom wręczano mały prezent „Damenspende”, przeważnie wa-

Z PERSPEKTYWY JASKÓŁKI

Bal w Operze Wiedeńskiej tradycyjnie odbywa się w ostatni czwartek karnawału. Uroczystość otwiera prezydent Austrii. Co roku bawi się tu około 5 tysięcy gości.



FOT. ELŻBIETA PAWLIK

DEBIUTANTKI NA START

Dla tych dziewcząt to pierwszy bal w życiu, poprzedzony długim treningiem w słynnej szkole tańca „Elmayer”.

chlarz z masy perłowej czy artystycznie wykonany karnecik, gdzie panowie mogli zapisywać się na kolejne tańce. Dzisiaj może to być elegancki damski zegarek, lśniący drobiazg od Swarovskiego w postaci broszki czy wisiorka. Jest równouprawnienie, więc na niektórych balach przewidziano „Herrenspenden”, czyli upominek dla panów. Na naszym balu wszyscy dostają bombonierki.

ALLES WALZER!

Suniemy pewnie na salony, w końcu mamy za sobą szybki kurs w renomowanej szkole tańca „Elmayer”, założonej jeszcze na początku ubiegłego stulecia. Pamiętamy najważniejszą zasadę, że Strausowskiego walca kręci się w lewo, a obrót następuje przez skrzyżowanie nóg, by nie zabierać zbyt wiele miejsca i nie przeszkadzać innym tancerzom.

Nagle wszyscy wstrzymują oddech, bo w sali balowej pojawiają się debutanci, dla których jest to pierwszy bal w życiu. Tradycyjnym zwyczajem otworzą imprezę. Dziewczęta w białych sukniach, z małymi koronami, ich partnerzy w czarnych frakach i muchach. Po miesiącach morderczych treningów są jeszcze spięci, onieśmieleni wielką widownią. Ale już suną jak zaczarowani w rytm poloneza „Fächer-Polonaise” Carla Michaela Ziehlera – tym utworem otwiera się wszystkie bale. Będą tańczyć tak długo, aż mistrz ceremonii powie: „Alles walzer” – „Wszyscy do walca!”. Wtedy w tany idą pozostali goście i to na kilku parkietach naraz – Kaffeesiederball jest jedynym balem organizowanym we wszystkich salach Hofburga. To okazja, aby zajrzeć do pięknie odnowionych Salonów Redutowych, a potem czmychnąć na górę do eleganckiego foyer, skąd można podziwiać panoramę starego Wiednia, podświetlony Rathaus i słynną katedrę św. Szczepana.



FOT. VIENNA TOURIST BOARD

NA KONIU I W SZMARAGDACH

Największą uwagę przyciąga Bal w Operze Wiedeńskiej. Najtańszy bilet kosztuje 140 euro, bez konsumpcji. Miejsca w łóży: 16-40 tys., jednak biletów już od dawna brak. Za 25 euro można dostać wejściówkę na „jaskółkę”, aby z góry oglądać balujące pary na tej jednej z najgłośniejszych imprez Europy. Do tańca przygrywa siedem orkiestr. Kilka lat temu furorę zrobił dyrektor Opery Wiedeńskiej Joan Holender, który na Opernball wjechał na koniu.

Wiedeń znów tonie w domysłach, kogo tym razem zaprosi na bal Richard Lugner, 79-letni austriacki magnat finansowy, właściciel centrum handlowego „Lugner City”. Od 1992 r. gościł w swojej łóży wiele gwiazd z pierwszych stron bulwarówek: Carmen Elektry, Pamelę Anderson, Grace Jones czy Raquel Welch. Rok temu zaprosił Ruby, głów-



ną bohaterkę skandalu obyczajowego z udziałem Silvio Berlusconi, wywołując tym konsternację wśród organizatorów imprezy. Ruby jednak była zadowolona – miliarder wypłacił jej 40 tysięcy euro za obecność u jego boku.

W poprzednich sezonach na Opernball błyszcząły już Sophia Loren i Andie MacDowell w kolii z szafirów. Pojawił się José Carreras, Plácido Domingo i niemiecki piłkarz Franz Beckenbauer. Rok temu balował tam Waldemar Pawlak. Wszystkich VIP-ów pilnuje 150 funkcjonariuszy policji kryminalnej po cywilnemu, czyli we frakach. Nie brak bogatych Rosjan, których łatwo rozpoznać po krzykliwych kreacjach dam. Eva pamięta, że nie obyło się bez skandalu, kiedy tancerze wiedeńskiego baletu pod koniec występu w Operze opuścili spodnie w proteście przeciw ostentacyjnemu obnoszeniu się gości z bogactwem. Przed Operą w tym samym czasie 450 wiedeńczyków demonstrowało przeciw globalizacji i establishmentowi. Większość mieszkańców austriackiej stolicy broni jednak tradycji: „Jeśli kogoś rażą kolie i diamenty, niech zamkną oczy” – dodają.

NIECH ŻYJE BAL!

Bale stały się od czasów Habsburgów symbolem miasta. Wprawdzie Jego Wysokość Cesarz Franciszek Józef zgodził się, po wielu latach starań artystów, na organizację przyjęcia w nowym gmachu opery przy Ringu dopiero w 1877 r., ale pod jednym warunkiem: „żadnych tańców!”. Gazeta „Wiener Fremdenblatt” donosiła, że na początku szło ciężko, ale „wiedeńska krew i odwaga w końcu zwyciężyły, bo po północy w sali reprezentacyjnej Opery pojawili się pierwsi tancerze”.

Dzisiaj jest prawie jak za czasów Franciszka Józefa. W honorowej loży, wśród dźwięków fanfar, ukazują się ozdobieni orderami głowy państwa i członkowie rządu. Dokładnie w miejscu zarezerwowanym niegdyś dla cesarza. Niemal pięć tysięcy gości w odświętnych kreacjach na stojąco słucha hymnów Austrii i Europy. A potem wypada wznieść toast. Niech żyje bal! I w tany. O świcie najlepiej wziąć dorożkę i pojechać do „Cafe Landtmann”, jednej z najstarszych wiedeńskich kawiarni. Balowicze zwykle zamawiają tam „Katerfrühstück” – specjalne śniadanie na kaca. ○

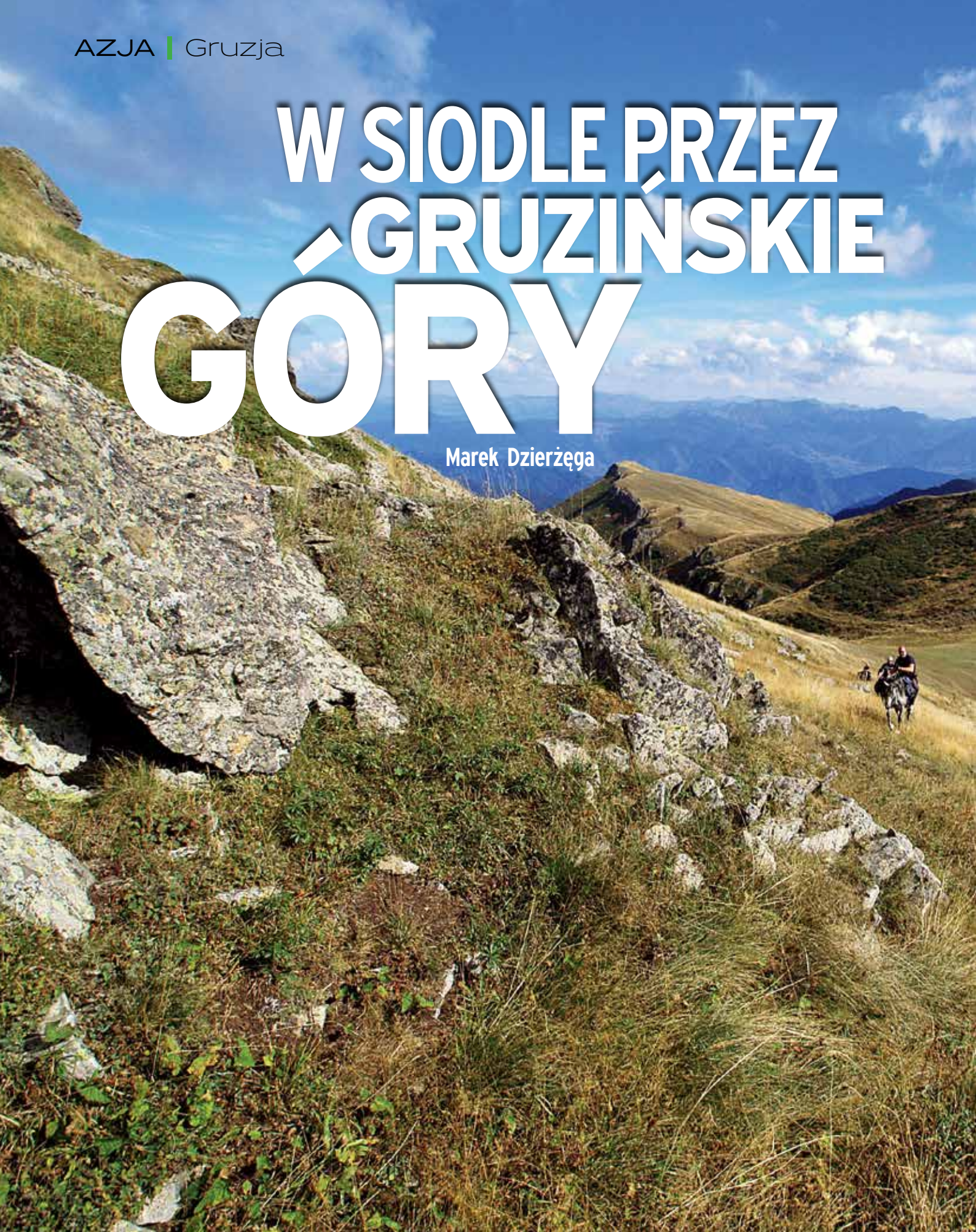
TRADYCJA SMAKU

Do Cafe Landtmann warto wybrać się nie tylko na „kacowe śniadanie”. Ta istniejąca od 1873 roku restauracja słynie również z wyśmienitego strudla jabłkowego i gorącej czekolady.

AZJA | Gruzja

W SIODLE PRZECZ GRUZIŃSKIE GORY

Marek Dzierżęga





Stara gruzińska legenda mówi, że Pan Bóg rozdzielając narodom ich miejsca na ziemi pominął Gruzinów, którzy spóźnili się, bo ucztowali. Widząc jednak, jak radosnym są narodem, dał im najpiękniejsze miejsce, które przygotował dla siebie. Patrząc na Gruzję z góry Sametskhvareo, łatwo w to uwierzyć.



FOT. MARC DIERZGA

KROPLA BORDŻOMI

Bordżomi jest jednym z największych parków narodowych w Europie. Zajmuje powierzchnię 5,3 tys. kilometrów kwadratowych, co stanowi 7,6% terytorium Gruzji. Stąd pochodzi znana także w Polsce woda mineralna Borżomi.

Do Bordżomi jechałem marszrutką z Tbilisi. Wobec braku regularnych połączeń autobusowych oraz wlokącego się pół dnia pociągu, minibus okazał się najsprawniejszym środkiem lokomocji. Po trzech godzinach jazdy wylądowałem w samym centrum, tuż przy wejściu na bazar. Pośród porannych mgieł miasteczko budziło się do życia. Tu i ówdzie rolnicy z okolicznych wiosek rozkładali stragany. Taksówkarze, ćmiąc mocne papierosy, wyczekiwali pierwszych klientów. Oparci o maski starych, wysłużonych ład, wołg i UAZ-ów wzdychali do czasów, kiedy kurort o każdej porze roku tętnił życiem. Ich zmęczone twarze dobitnie świadczyły, że miasteczko przeżywa chude lata. Choć dzień zapowiadał się słoneczny, nocny przymrozek dawał się jeszcze we znaki. Staruszki sprzedające czapki i grube wełniane skarpety rozcierały zmarznięte, spracowane dłonie. W powietrzu unosił się zapach wypiekanego w pobliskich piekarniach wyśmienitego lokalnego chleba.

KRÓLOWA ŻŁOTEGO WIEKU

Tuż za zabudowaniami na zboczach Wąwozu Bordżomskiego, w którym rozsiadło się miasto, pysznił się jesienny las mieszany, skrywający dziesiątki szlaków pieszych i konnych. O tej porze roku, kiedy po halach niesie się echem godowe porykiwanie jeleni, a las za sprawą wielobarwnej szaty staje się najpiękniejszy, Park Narodowy Bordżomi-Chala-gauri pustoszeje. Pasterze sprowadzają stada owiec w doliny, a wędrowcy coraz rzadziej wychodzą na szlak. W górach w każdej chwili może spaść pierwszy śnieg.

Mając apetyt na najciekawszą część parku, musiałem dojechać do oddalonego o 25 km Atskuri. Stąd można dotrzeć w rejon Sametskhvareo – szczytu stanowiącego najwyższe wzniesienie pasma górskiego. Droga na zachód wiła się stromo w górę, stanowiąc nie lada wyzwanie dla starej taksówki. Po osiągnięciu płaskowyżu za miastem biegła już łagodnie przez wiele kilometrów wzdłuż rzeki, da-



jąc możliwość podziwiania górzystego krajobrazu. Łada krztusiła się i szarpała, a kierowca kompletnie o to nie dbając, raczył mnie opowieściami o okolicy.

– *Spójrz, jaka forteca! Średniowieczna! Z czasów królowej Tamary! Wtedy to byliśmy potęgą* – wspominał, kiedy mijaliśmy ruiny średniowiecznej warowni Atskuris Tsikhe. – *U nas kobieta była królową już w XII wieku. A dzisiaj nam Zachód zarzuca niedostatek równouprawnienia. Co oni tam o nas wiedzą?*

W KRÓLESTWIE NIEDŹWIEDZICY

Strumień przecinający drogę zakończył moją podróż taksówką. Zarzuciłem plecak na ramiona i pożegnałem się z sympatycznym kierowcą. Pomaszerowałem raźnie ścieżką upstrzoną złocistymi liśćmi ogromnych platanów stojących na straży pobliskich zabudowań. Stare chatki, ogrodzone pochylonymi płotami, zdawały się mówić: „Witaj, odtąd zaczynasz nie tylko wędrowkę przez dziewiczy las, ale również podróż w czasie”. Planując wyjazd do Bordżomi, zastanawiałem się, jak ten park zwiedzić. Pieszko, tak jak zwykle, czy może na koniskim grzbiecie? Tym razem zdecydowałem się na wynajęcie koni, bo bardziej mi do Gruzji pasowały.

Na polanie koło strażnicy służby parku pasły się osiodłane już wierzchowce, przy których krzątał się mężczyzna w sile wieku. W ubraniu z demobilu i czarnych gumofilcach nie pasował do utartego wizerunku przewodnika. Plecak zastępowały mu dwa brezentowe worki przytroczone do siodła siwego ogiera.

– *Po rosyjsku rozumiesz?*

Krótkim „da” potwierdziłem.

– *A na koniu kiedy siedziałeś?*

Skinąłem głową. Nieznacznym uśmiechem przewodnik wyraził zadowolenie. Po kilku minutach siedziałem już na koniskim grzbiecie.

Łagodne jesienne słońce delikatnie muskało zbocza kanionu, nadając scenerii bajkowy wygląd. Stępem, bez pośpiechu przemieszczaliśmy się kamiennym korytem strumienia w głąb pierwotnej puszczy, w której niepodzielnie króluje niedźwiedź. W parku żyje podobno około 60 osobników, a niedźwiedzica z młodymi stanowi jego symbol.

Powyżej 1700 m n.p.m. las mieszany przechodzi w iglasty, by wreszcie ustąpić miejsca łąkom alpejskim. W tej części gór spędzają lato pasterze ze stadami owiec. Zamieszkują w rozsianych po całych górach obozowiskach składających się

WIELKA MIGRACJA

Jesienią pasterze przemierzają ze swoimi stadami nawet kilkaset kilometrów. Wędrują z górskich pastwisk ku granicy z Azerbejdżanem, gdzie lato trwa dłużej, a zwierzęta można sprzedać drożej.



FOT. MAREK DZIERŻGA

NA KOPYTNYM SZLAKU

Atrakcją tego rejonu jest możliwość odbycia górskich wypraw konnych.

z chatek skleconych z desek oraz otwartych zagród dla zwierząt. Bezpieczeństwa pasących się owiec strzegą znane z waleczności owczarki kaukaskie. Tu, gdzie wilk nie jest rzadkością, owczarkom kopiuje się (przycina) uszy oraz ogon, co ma zapobiec zranieniom tych miejsc podczas walki z drapieżnikami. Mocne karki psów zdobią nierzadko obroże najeżone kolcami, chroniące przed wilczymi kłami.

Na granicy lasu i łąk rozpościerają się krzewy różanecznika – porastają górne partie lasu, dzieląc się miejscem z coraz rzadszym drzewostanem, by nieco wyżej pokryć całkiem spore połacie gór. Na jesieni mienia się wszystkimi odcieniami czerwie-

ni, tworząc barwny kobierzec. Późną wiosną, kiedy kwitną, są jeszcze piękniejsze.

CZACZA NA DOBRANOC

Wierzchołek Sametskhvareo minęliśmy, trawersując górę od strony zachodniej. 2642 m n.p.m. to wyżej niż Rysy, ale krajobraz zupełnie inny – łagodniejszy, przypominający raczej Bieszczady. Przy dobrej pogodzie na całym widnokręgu podziwiać można ośnieżone szczyty gór z najbardziej malowniczym pasmem Kaukazu Wysokiego.

KRAJOBRAZ ZE SŁAWOJKĄ

Gruzińskie schroniska nie mają obsługi, ale oferują bezpieczny nocleg w „pięknych okolicznościach przyrody”.



FOT. MAREK DZIERŻGA



O zachodzie słońca wreszcie doszliśmy do schroniska na polanie pod szczytem. Tak małego, że z oddali przypominało budkę dla psa. Słowo „schronisko” zachowało tu swoje pierwotne znaczenie. Zbudowane przed kilku laty chatki są bezobsługowe – proste, drewniane, bez prądu i wody, wyposażone zaledwie w surowe prycze oraz stół i krzesła – mają chronić przed deszczem i wiatrem. Poprzez swoją prostotę idealnie wpisują się w etos górskich wędrowców. Czując kres całodziennego wyczerpania, ospałe dotąd konie przyspieszyły. Wszystkim należało się odpoczynek. Przewodnik rozsiadł na konie.

– *Weź, przyda się w nocy* – wyjaśnił, rzucając skórzane siedzisko siodła na moje łóżko. Skórzany worek dopięty do stelażu siodła, zapewniający w ciągu dnia całkiem wygodną jazdę, teraz miał sprawdzić się w roli poduszki na twardej pryczy. Jego zapach nie robił już na mnie wrażenia po całym dniu spędzonym na koniu.

Gruzini postawił na stole płaską fiaszeczkę ze słomkowym płynem. Zza pazuchy wyjął dwa „kieliszki” wykonane z ciętych rogów.

– *Musisz wypić do końca albo rozlejesz, a rozlewać się nie godzi* – powiedział pokazując, że kieliszków nie da się postawić. – *Będziesz lepiej spał.*

Byłem tak zmęczony całodzienną jazdą, że środek nasenny nie był mi wprawdzie potrzebny, jednak odmówić nie mogłem. Najsłynniejszym gruzińskim zwyczajem jest wznoszenie toastów. Każde uniesienie kielicha poprzedza przemówienie. I tym razem inaczej być nie mogło, tradycja okazała się silniejsza w starciu z milczącą naturą przewodnika. Toast był za wszystkich ludzi, którzy w tych górach żyli – i tych z zamierzonych czasów, i tych, których nosił jeszcze w pamięci. Jednym słowem za przodków. Domowej roboty czacza była krępka jak sam naród gruziński. Palila jak rozgrzane żelazo. Małomówny dotąd Merab rozpoczął opowieść o czerwonych wilkach, widywanych podobno od niedawna na Kaukazie. Przebiegłych i umiejących wdrapywać się na skały. Słuchając jego opowieści, zasnąłem.

Ze snu wyrwało mnie nerwowe rżenie koni. Na poły śpiący jeszcze umysł podpowiadał: czerwone wilki. Zerwałem się na równe nogi, nawet nie zauważyłem, że łóżko Gruzina jest puste. Wybiegłem na zewnątrz i, uderzony powiewem zimnego wiatru, obudziłem się na dobre. Snop światła latarki rozproszył ciemności nocy. Mężczyzna z batem w rękę, mruczając coś pod nosem poprawiał uwiąz sivego ogiera.

TU POMOŻE TYLKO GPS LUB MIEJSCOWY PRZEWODNIK

W opustoszałym na jesieni parku łatwo można się zgubić.

– To tylko konie z parku. Włóżą się po okolicy półdzikie. Ogiery się nienawidzą. Wracaj do łóżka.

Z ulgą wsunąłem się do ciepłego śpiwora i przytuliłem do poduchy siodła. Znowu zasnąłem.

I TAK NIE ZROZUMIESZ

Nazajutrz pogoda okazała się łaskawa, dzień wstał słoneczny. Jedynie gdzieś daleko pod nami, w dolinach, snuły się poranne mgły. Przewodnik ponaglał, wróżył załamanie pogody. Czekał nas jeszcze dłuższy szlak niż dnia poprzedniego. Łagodny dotąd krajobraz w miarę zbliżania się do masywu Lomismta przyjmował, za sprawą rozsianych tu i ówdzie skał, iście dramatyczny charakter, tworząc zapierającą dech w piersiach scenerię. Szlak wiódł miejscami skrajem urwiska, przyprawiając o szybsze bicie serca.

Choć nic tego nie zapowiadało, wieczorem mgła pokryła góry. Zastanawiałem się, skąd Merab mógł to wiedzieć. Zagadnięty, wymamrotał jedynie: „i tak nie zrozumiesz”. Z lasu wjechaliśmy w biały тумan, to mgły z dolin powoli w ciągu dnia wpłynęły na wyższe partie gór. Zaczęło mżyć, a widoczność spadła do kilku metrów. W świetle czołówki ledwie widziałem zad kroczącego parę metrów przede mną siwego ogiera. Zeszliśmy z koni w obawie przed fałszywym krokiem w stronę stromych zboczy. Zwierzęta zachowywały jednak spokój. Ufne w doświadczenie przewodnika, spokojnie stawiały kroki w ciemnościach. Miałem wrażenie, że od godziny krążymy w jednej i tej samej okolicy, nie mogąc znaleźć miejsca na nocleg.

Byliśmy gdzieś na niezalesionych wzgórzach, bez śladów ścieżki, wprost na łące, bez żadnych punktów orientacyjnych.

– Zatrzymamy się w szałasie – wymamrotał przewodnik.

Zgodziłem się. Dotarcie do kolejnego schroniska w tych warunkach nie było możliwe.

– Musi tu być, musi tu gdzieś być – powtarzał.

Dobry i szałas, pomyślałem. Tylko żebyśmy go znaleźli.

– Rozsiodlaj konia! Jest.

Stałem zaledwie kilka kroków od wejścia do drewnianej chatki, w mlecznej mgle można było ją minąć dosłownie o długość konia. Szałas, choć biedny i mały, miał coś, co dawało mu przewagę nad schroniskiem. W rogu jedynej izby stał piecyk. Coś pomiędzy kozą a miniaturowym piecem, który pamiętam z kuchni mojej babci. Tym razem czacza się przydała. Zanim rozpaliliśmy ogień, alkohol rozgrzewał nas już od środka. Gdy zmagalem się z wilgotnym drzewem, chodziła mi po głowie myśl, że pewnie byłoby łatwiej, gdyby cza czy użyć jako rozpalki. Musiała być łatwopalna. Po chwili grzaliśmy się przy kominku.

Rankiem po mgle nie było śladu, jedynie mokra trawa i kałuże świadczyły o nocnym deszczu. Rozejrzałem się dookoła. Jak okiem sięgnąć, wokół rozpościerały się jednakowe łyse wzgórza masywu Lomismty, a wśród nich jeden jedyny szałas. Nasz szałas, który przewodnik zdołał odnaleźć. Znowu coś mruczał pod nosem, pewnie to swoje „i tak nie zrozumiesz”. ○

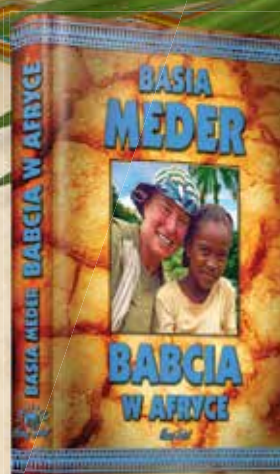
DWÓCH WSPANIAŁYCH

W miarę zbliżania się do masywu Lomis Mta (2187 m n.p.m.) krajobraz robi się coraz bardziej westernowy.





**KSIĄŻKI
POD PATRONATEM
„POZNAJ ŚWIAT”**

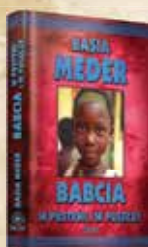


Basia Meder
BABCIA W AFRYCE
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł

**PODRÓŻNICZA
KSIĄŻKA ROKU
TRAVELER
2010**
PRZYZNANA PRZEZ
NATIONAL
GEOGRAPHIC



Wojciech Cejrowski
**PODRÓŻNIK WC
WYDANIE II POPRAWIONE**
format: 145 x 205 mm
cena 43 zł



Basia Meder
**BABCIA W PUSTYNI
I W PUSZCZY**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Antonio Halik
**180 000 KILOMETRÓW
PRZYGODY**
format: 145 x 205 mm
cena: 35 zł



Antonio Halik
**JEEP. MOJA WIELKA
PRZYGODA**
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



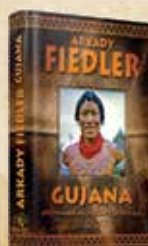
Antonio Halik
**Z KAMERĄ I STRZELBĄ
PRZEZ MATO GROSSO**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



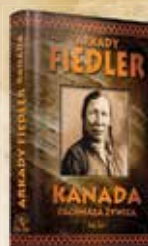
Wojciech Cejrowski
**GRINGO WŚRÓD
DZIKICH PLEMIŃ**
format: 145 x 205 mm
cena: 43 zł, 49 zł (zapachowa)



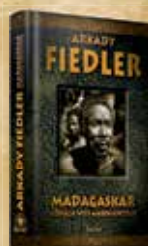
Arkady Fiedler
DYWIZJON 303
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł, 15 zł (opr. miękka)



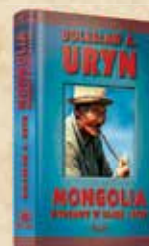
Arkady Fiedler
**GUJANA. SPOTKAŁEM
SZCZĘŚLIWYCH INDIAN**
format: 145 x 205 mm
cena: 40 zł



Arkady Fiedler
**KANADA
PACHNĄCA ŻYWICĄ**
format: 145 x 205 mm
cena: 45 zł



Arkady Fiedler
**MADAGASKAR. GORĄCA
WIEŚ AMBINANITELO**
format: 145 x 205 mm
cena: 49 zł



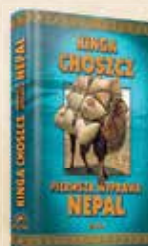
Bolesław A. Uryn
**MONGOLIA. WYPRAWY
W TAJGĘ I STEP**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



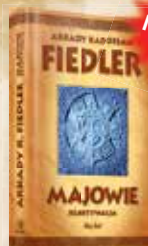
Kinga Choszcz
**PROWADZIŁ NAS LOS.
KINGA & CHOPIN**
format: 145 x 205 mm
cena: 42 zł



Kinga Choszcz
MOJA AFRYKA
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł



Kinga Choszcz
**PIERWSZA WYPRAWA.
NEPAL**
format: 145 x 205 mm
cena: 41 zł



Arkady Radosław Fiedler
**MAJOWIE.
REAKTYWACJA**
format: 145 x 205 mm
cena: 36 zł



Stefan Czerniecki
DALEJ OD BUENOS
format: 145 x 205 mm
cena: 44 zł

Wydawnictwo „Bernardinum”, ul. Bpa Dominika 11, 83-130 Pelplin
tel.: 58 531-64-81, 58 536-17-57, fax 58 536-17-26, kom. 662-014-683
e-mail: zakupy@bernardinum.com.pl • www.ksiegarnia.bernardinum.com.pl

Hiszpania



NAVIGATOR

Nasze rekomendacje na krótkie wypady



Belgia



Litwa



NAJPIERW ZWIEDZAJ

Brugia, miasto w północno-zachodniej Belgii zwane „flamandzką Wenecją”, jest dużym ośrodkiem przemysłu i ważnym portem śródlądowym dostępnym dla statków morskich. Przede wszystkim jednak, to urokliwe, najlepiej zachowane

flamandzkich z krucjaty do Ziemi Świętej, zawierająca podobno krew Jezusa Chrystusa. Inne świątynie to Kościół Najświętszej Marii Panny z oryginalną rzeźbą Michała Anioła oraz Jerusalem Kerk z przepięknymi witrażowymi oknami. Warto również odwiedzić muzeum Groeninge ze zbiorami malarstwa przedstawicieli szkoły flamandzkiej.

Po zwiedzaniu trzeba koniecznie udać się do którejś z licznych kawiarenek. Brugia słynie z czekolady – w muzeum Choco Story poznać można historię jej produkcji, która trwa już od 1480 roku. Drugim charakterystycznym produktem jest piwo, warzone w okolicznych browarach według doskonałych domowych receptur. Ten trunek produkowany jest

tylko z naturalnych produktów, bez chemicznych dodatków. Brugia słynie również z wyrobu koronek, wyrabianych często na ulicach na pod zaciekawionym okiem turystów.

Na pewno nie trzeba zachęcać do odwiedzenia miasta tych, którzy widzieli film Martina McDonagha „In Bruges” z Colinem Farrellem (polski tytuł „Najpierw strzelaj, potem zwiedzaj”).

średniowieczne miasto w Belgii, z przepiękną starówką wpisaną na listę zabytków UNESCO. Znajdują się tu kanały z małymi mostkami, otoczone starymi domami z kamienia. Warto zobaczyć też obiekty sakralne, których w Brugii nie brakuje. Najbardziej okazałym z nich jest Bazylika Heilig-Bloed – Świętej Krwi, gdzie znajduje się fiołka przywieziona przez rycerzy



51°13' N 03°14' E

niecałe 100 km od Brukseli.
Do Brukseli latają samoloty
z większych miast Polski.

Park upadłych pomników

W Parku Grūtas k. Druskiennik możemy cofnąć się do czasów Litewskiej Socjalistycznej Republiki Radzieckiej. Na 20 hektarach zgromadzono 86 pomników przywódców z okresu sowieckiego, zdemontowanych w całym kraju po odzyskaniu niepodległości. W muzeum, stylizowanym na dom kultury z lat 1950., zobaczymy przykłady komunistycznej propagandy i zrekonstruowane ówczesne pomieszczenia, a w galerii

– dzieła socrealizmu. Tutejsza kawiarnia oferuje tradycyjne litewskie potrawy oraz kartę dań „sowieckich”. Dzieci mogą pobawić się w lunaparku z dzieciństwa swoich dziadków.

Przy okazji wizyty w Parku Grūtas warto zatrzymać się w Druskiennikach. W tym głównym uzdrowisku Litwy znajduje się jeden z największych w Europie aquaparków.



54°02' N 24°07' E

60 km od przejścia w Ogródnikach, 5 km od Druskiennik.





Dla zdrowia i wszystkich zmysłów

WEgerze przyda nam się co najmniej jedno węgierskie słowo: „egészségedre”, czyli „na zdrowie!”. Tutejsza Dolina Pięknej Pani (Szépasszony-völgy) słynie z licznych piwniczek wykutych w tufie – wulkanicznej skale, zapewniającej doskonałe warunki do przechowywania wina. W blisko dwustu winiarniach, których podziemne korytarze mają łącznie ponad 130 km, można do woli degustować i nabywać wina tego regionu. Najśłynniejszym z nich jest egri bikavér – „egerska bycza krew”. Tubylcy łączą historię jego powstania z legendą, według której picie krwistoczerwonego wina pomogło obrońcom egerskiego zamku w 1552 r. przez 40 dni skutecznie odpychać ataki znacznie większej armii tureckiej. Muzułmańscy agresorzy uwierzyli, że purpurowa ciecz na brodach węgierskich żołnierzy była prawdziwą byczą krwią.

Po Turkach, którzy ostatecznie zdobyli Eger pół wieku później, zachowały się łaźnie oraz charakterystyczny dla miasta minaret, pozostałość po meczecie zburzonym w XIX w. Warto zobaczyć też wspomniany średniowiecz-



ny zamek, neoklasycystyczną bazylikę, będącą drugą co do wielkości węgierską świątynią oraz barokowy kościół minorytów, którego wystrój uważany jest za najpiękniejszy na Węgrzech.

Nacieszywszy zmysły smaku, powonienia i wzroku nie zapomnijmy o jeszcze dwóch: czucia i.. temperatury. Eger słynie z kompleksu wód termalnych, położonego w otoczeniu pięknego parku ze stuletnimi cyprysami i platanami. Doskonale właściwości lecznicze egerskich wód wykorzystywano już w XV w. Kąpiel w nich jest nie tylko przyjemna – pomaga ukoić skołataną nerwy, leczy niedokrwiłość i reumatyzm.

Parę kilometrów od miasta, w Egerszalók, z wody o temperaturze 68°C, tryskającej z głębokości blisko 400 m, wytrącające się minerały tworzą imponujące, białe nacieki. To jedyne takie miejsce w Europie. Podobne formacje skalne można spotkać tylko w amerykańskim Parku Yosemite oraz tureckim Pamukkale, leżącym już w Azji.



47°54' N 20°22' E

138 km na północny-wschód od Budapesztu.

Błotne bąble

W gminie Berca, nieopodal miasta Buzău we wschodniej Wołoszczyźnie znajdziemy niespotykane w Polsce wulkany błotne, zwane tu vulcanii noroiuși. Powstają w wyniku wydostawania się z głębokości trzech kilometrów gazów, które po drodze przechodzą przez warstwy gliny i wody.

 45°17' N 26°41' E
145 km na północny-wschód od Bukaresztu.

Błoto tworzy miniwulkany – dorastające do paru metrów stożki, na których szczytach co jakiś czas pojawiają się błotne bąble. Z powodu dużej zawartości soli w wulkanicznym błocie, okolice pozbawione są roślinności i tworzą niezmiernie surowy krajobraz, a wysuszone błotne garby przypominają kształtem i strukturą pomarszczoną skórę słonia.

W okolicach Lopătari można też spotkać inny fenomen związany z wydobywającym się spod ziemi gazem – sięgający nawet metra wysokości, wiecznie palący się naturalny ogień.



Hiszpania Ronda

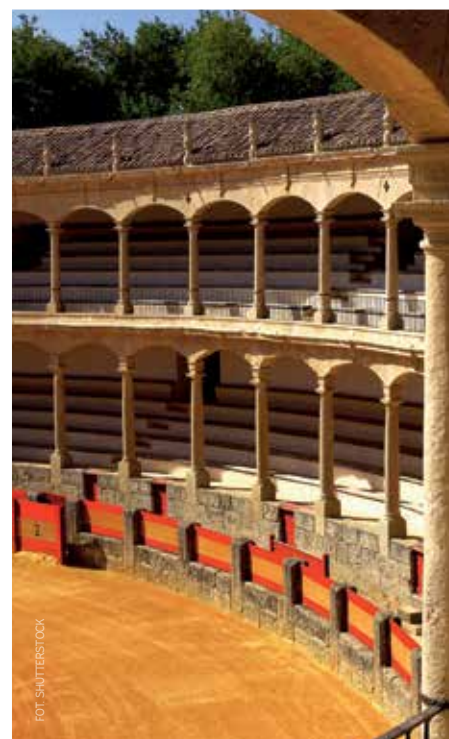
 36°45' N 05°09' W
Okolo 100 km na zachód od Malagi.

Po Rondzie we wszystkie strony

Ronda to malownicze andaluzyjskie miasteczko o niezwykłym umiejscowieniu. Położona jest na obu zboczach wąwozu El Tajo sięgającego miejscami nawet do 120 metrów. Ronda podzielona jest na dwie dzielnice – arabską Ciudad i nowszą, powstałą po rekonkwiescie, Mercadillo. Dzielącym miasto wąwozem płynie rzeka Guadale-

vín. Obie dzielnice łączą 3 mosty, z których najbardziej znanym jest najwyższy – Puente Nuevo. Jego budowa zaczęła się w 1751 roku i trwała 42 lata. Pod środkowym przęsłem znajduje się pomieszczenie, które było wykorzystywane między innymi jako więzienie. W Rondzie znajduje się najstarsza w Hiszpanii arena do corrido (z 1785 r.), zaprojektowana przez architekta José Martín de Aldehuela, którego dziełem jest także most Puente Nuevo. W starszej, arabskiej części Rondy, warto zwiedzić Pałac Arabskiego Króla (Casa del Rey Moro) oraz Pałac Mondragón. Gdziekolwiek zobaczysz można również pozostałości po arabskich murach miasta. Przy Plaza de la Duquesa de Parcent znajduje się kościół Santa María La Mayor, który został wybudowany na miejscu dawnego meczetu.

Ronda była i jest inspiracją dla wielu twórców, artystów i pisarzy. To tu natchnienia szukali między innymi Ernest Hemingway i Orson Welles.





FOT. MICHAŁ KODŁOW

Michał Kozok

Trzęsienie ziemi, wulkan i syrena

Zachwiałem się, nogi ugięły się pode mną. Miałem problem z utrzymaniem równowagi. Znajdowałem się na szczycie górskiej przełęczy, w dżungli. Wokół trzęsły się drzewa. Rzuciłem swój plecak, pobiegłem na środek ścieżki i przygarnąłem do siebie żonę. Popatrzyliśmy na siebie. Bez słów oboje rozumieliśmy wspaniałość tej chwili – trzęsienie ziemi!



FOT. MICHAŁ KOZAK

GNIEWNA PIĘKNOŚĆ

Widowiskowy wybuch wulkanu Yasur na wyspie Tana.

Cały świat drżał przed moimi oczami. Krzychałem ze szczęścia. Od lat pragnąłem doświadczyć czegoś tak niesamowitego. Tutaj, na wyspie Tana w państwie Vanuatu, moje marzenie się spełniło. Trzęsienie miało siłę 7 stopni w skali Richtera i było trzecim najpotężniejszym na wyspie w ciągu ostatniego ćwierćwiecza.

PRZY PASZCZY POTWORA

Po tych emocjach kontynuowaliśmy nasz marsz przez dżunglę. Nagle zagrzmiało. Nie byłoby w tym nic nadzwyczajnego, gdyby przez gęste konary drzew nie sięgały nas silne słoneczne promienie. Niebo było niebieskie. Grzmoty powtarzały się jednak coraz częściej i były coraz głośniejsze. Brzmiało to, jakby ciężarówka z pustą metalową naczepą pędziła po dziurawym asfalcie. Jednak na wyspie nie ma ani ciężarówek, ani asfaltu. Co to zatem było?

Po wyjściu z gęstej dżungli na polanę ujrzeliśmy wulkan Yasur. Huczący potwór co jakiś czas wypuszczał kłęby siarki w powietrze. Nie przypuszczałem, że jeszcze tego samego dnia natura może przebić niepowtarzalne wrażenia trzęsącego się świata. A jednak była szczodra i szykowała nam dodatkowe atrakcje.

Po paru godzinach marszu stanęliśmy na krawędzi tego „smoczego potwora”. Zajrzałem bestii prosto w gardziel i oniemiałem z wrażenia. Dostałem przywileju spojrzenia w głąb buchającego krateru. Przy ogłuszającym huku krwistoczerwona magma wyskakiwała na kilkadziesiąt metrów w górę. Potem opadała na zbocze, spływała w dół i zastygała, zmieniając się pomału w zwyczajną, pospolitą skałę.

STRACH MA WIELKIE OCZY I BIAŁE ZĘBY

Byliśmy sami w ciemnej dżungli, z dala od ludzkich osad. Nagle, naprzeciw nas pojawił się ciemnoskóry, bosy mężczyzna w obdartej koszulce i dziurawych szortach. W rękę trzymał maczetę. Kiedy był już na tyle blisko, że mogłem dostrzec rysy jego twarzy, przyszły mi na myśl filmy z udziałem podejrzanych typów i handlarzy narkotyków. Do tego doszła nagle świadomość, iż jeszcze w zeszłym wieku kanibalizm był tu powszechny. Pomyślałem, że może powinienem zacząć się bać o nasze bezpieczeństwo. Ale byliśmy na Vanuatu, a tu przestępczość prawie nie istnieje. W końcu, kiedy się zrównaliśmy, obcy

pokazał białe zęby w szerokim uśmiechu, przywitał się, uklonił i pozdrowił nas. Wstyd mi było za myśli, które miałem przed chwilą.

W RYTUALNYM TAŃCU

Ledwo mogłem oddychać w tumanach kurzu unoszącego się w powietrzu. Ziemia zadrżała gwałtownie raz, potem drugi, trzeci. Parę sekund przerwy i wszystko od nowa. Tym razem nie było to jednak trzęsienie. Braliśmy udział w tradycyjnych plemiennych obrzędach. Podpatrywałem i starałem się naśladować dzikie taneczne ruchy: gwałtowne tupnięcie, zwrot, kłamięcie, dwa kroki, okrzyk. Układ tańca powtarzał się, byłem już zmęczony dwugodzinnym tupaniem, skakaniem, bieganiem i klaskaniem. Z drugiej jednak strony, chłonałem te chwile, bo to zaszczyt być zaproszonym do kręgu bosonogich, czarnoskórych tancerzy.

Na zewnątrz męskiego kręgu zaczynały podskakiwać poprzebierane kobiety, szeleszcząc trawiastymi strojami i ogłuszając wysokim, skrzekliwym śpiewem. Były starannie pomalowane, nie oszczędziły też mojej żony, która z pomarańczową farbą na twarzy skakała razem z nimi.

Pośród kilkuset tancerzy dostrzegłem nagle białego. Zagadnąłem go w trakcie przerwy między tupaniem i potwierdził, że to całonocny taniec wszystkich okolicznych wiosek z okazji obrzezania chłopców. Białą pracował na wyspie i od trzech lat



FOT. EVELINA KOZŁOK

I PO BÓLU

Chłopiec z zawiązaną chustą parę dni po obrzezaniu już zapomniał o niemiłym doświadczeniu.

czekał na możliwość uczestniczenia w obrzędach.

– *A ty jak się tu znalazłeś?* – spytał zaskoczony. – *Przecież to nie dla turystów.*

– *No cóż, to nasz pierwszy dzień na wyspie. Rozbiliśmy namiot na plaży, podeszli do nas miejscowi i zaprosili* – odpowiedziałem. Naprawdę mieliśmy sporo szczęścia. Podobnie jak kilka dni później, w innej wiosce, na innej wyspie, gdy zaproszono nas na plemienne wesele. Najciekawsze były przygotowania (z wyjątkiem rzezi zwierząt): strojenie

IMPREZA SKŁADKOWA

Na wesele każda z zaproszonych wiosek przynosi prosie.



FOT. EVELINA KOZŁOK



„NIE MAM SIĘ W CO UBRĄĆ”

Przygotowania do całonocnych tańców wymagają pomysłowości w wykorzystaniu dostępnych ubrań i ozdób.

EKOLOGICZNE AGD

Liście bananowca służą w zależności od potrzeb za: krzesła, stoły, garnki, pokrywki, półmiski, talerze...

biesiadników i gotowanie potraw w wielkich ziemnych piecach. Potem gościnny posiłek, pogawędki, bez pośpiechu, bez problemów... po wypiersku.



CZY LECI Z NAMI PASAŻER?

Samolot spóźniał się już godzinę. Wiedziałem, że na wyspach czas ma inny wymiar, więc nawet się nie denerwowałem. Kiedy jednak minęła kolejna godzina, postanowiłem zapytać obsługę.

– *Na Epi?* – spytał ze zdziwieniem oficer. – *Już odleciał. Gdzie byłeś, jak wołałem?*

– *Jak to odleciał? Przecież siedzę przed bramką odlotów od dwóch godzin.*

– *Wołałem...*

Próbowaliśmy wyjaśnić, kto zawinił, ale to nie prowadziło do żadnego konstruktywnego rozwiązania. Chwilę później dowiedziałem się, że nasze bagaże są już na drugiej wyspie. Jak można nie zauważyć, że odprawiło się sześciu pasażerów, a w samolocie siedzi tylko czterech?

Zanim wymyśliłem plan awaryjny, obsługa była już w akcji. Poszli na pas startowy, zatrzymali już prawie odlatujący samolot i pogadali z pilotami. Chwilę później siedzieliśmy w małym wnętrzu, spoglądając przez otwarte drzwi do kabiny pilotów. Polecieliśmy na inną wyspę, a stamtąd po wymianie pasażerów i stosów ich bagażu, samolot wyruszył w drogę powrotną do stolicy... z jednym, specjalnie dla nas, międzylądowaniem na Epi.

Kiedy podchodziliśmy do lądowania, krowy w panice opuszczały pas startowy. Te żywe kosiarki nie były przyzwyczajone do dwóch samolotów dziennie. Na lotnisku, czyli w rozlatującej się budce, czekał na nas tubylec, który pilnował naszych plecaków. Oznajmił, że jedyny samochód wożący pasażerów już odjechał. Mieliliśmy nadzieję na złapanie okazji, jednak na całej wyspie było tylko dziesięć sprawnych samochodów.

Poszliśmy zatem drogą przed siebie. Szeroka ścieżka wiodąca przez gaje palmowe szybko się



SYRENKA XXL

Pochodząca z języka malajskiego nazwa diugonia oznacza „panią morza”. To prawdziwa królowa podmorskich pastwisk, podobna do wytopionych już krów morskich.

skończyła i po chwili z obu stron drogi otaczała nas już gęsta dżungla. Po dwóch dniach marszu osiągnęliśmy nasz cel – wioskę Laman Bay.

MOJA SYRENA

Miałem już tylko jedno pragnienie – zobaczyć syrenę. Spędzałem godziny w wodzie na ciągłym ich poszukiwaniu. Z czasem, trochę rozczarowany, traciłem nadzieję. Determinacja albo raczej wiara w cuda wrzuciła mnie do wody o wschodzie słońca ostatniego dnia. Płynąłem blisko godzinę. Już zaczęły nudzić mnie piękne, kolorowe rafy, morskie żółwie, jaskrawe rybki. Płynąłem jednak dalej, w miejsce gdzie więcej jest morskiej trawy.

Nagle, jedna z wielkich koralowych skał poruszyła się przede mną. Szybko wykonałem kilka ruchów do przodu. Skała przybliżyła się, a ja w ułamku sekundy zrozumiałem, że Vanuatu mnie kocha i oferuje wszystko, co najlepsze. Przede mną spokojnie płynął ponad dwumetrowy diugon. Diugonie to morskie ssaki zaliczane do rzędu syren. To był cud, spełnienie marzeń, nagroda, choć nie wiem za co. Diugon z gracją przepłynął przede mną, powoli wynurzył się, aby wziąć oddech, po czym znowu zanurkował. Miałem syrenę tylko dla siebie. Po dwóch minutach straciłem ją z oczu, ale to przeżycie było wszelkich poświęceń.

POCZEKALNIA NA PLAŻY

Po przybyciu w pobliże trawiastego pasa startowego zgłosiliśmy nasze bagaże do odprawy. Pracownik lotniska zważył plecaki, potem nas z bagażem podręcznym, odhaczył z listy i kazał czekać. Ale po co czekać bezczynnie, skoro było jeszcze ponad pół

godziny do odlotu. Wzięliśmy więc nasze maski z rurkami i wskoczyliśmy do oceanu, którego brzeg znajdował się niecałe 100 metrów od lotniska. Tam ponownie podziwialiśmy kolorową rafę, relaksując się w ciepłutkiej wodzie. Czasem zerkąłem na nasze podręczne bagaże leżące na plaży (aparaty, pie-



niądze, paszporty), ale nie martwiłem się za bardzo, pamiętając, że to przecież jedno z najbezpieczniejszych miejsc na świecie.

W końcu usłyszeliśmy warkot silnika samolotu. Wyszliśmy z wody, wzięliśmy nasze torby i pobiegliśmy boso, mokrzy, w strojach kąpielowych i z maskami w rękach, do kołującego już samolotu. Zdążyliśmy jeszcze poprosić o pamiątkowe zdjęcie, po czym wzięliśmy nasz główny bagaż i zanieśliśmy go do luk bagażowego w maszynie. ○

ZDJĄĆ MASKI, ZAPIĄĆ PASY

Na Vanuatu nawet czekanie na samolot można sobie umilić. Nikogo też nie dziwią mokrzy pasażerowie w maskach do nurkowania wsiadający na pokład.

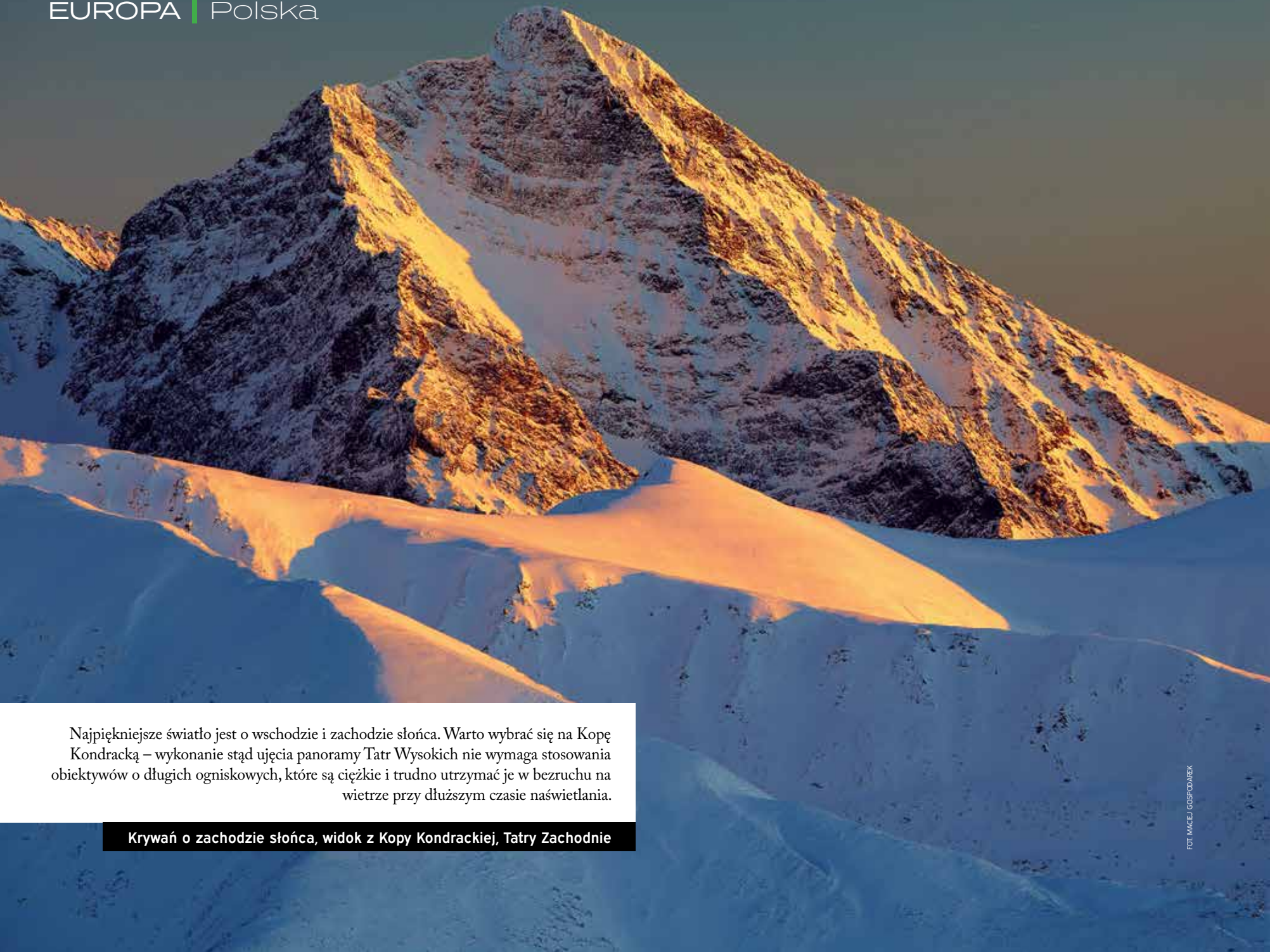
Giewont w chmurach, widok z Kopy Kondrackiej,
Tatry Zachodnie





PIĘKNO ZIMOWYCH TATR

TEKST I ZDJĘCIA: **Mikołaj Gospodarek**



Najpiękniejsze światło jest o wschodzie i zachodzie słońca. Warto wybrać się na Kopy Kondracką – wykonanie stąd ujęcia panoramy Tatr Wysokich nie wymaga stosowania obiektywów o długich ogniskowych, które są ciężkie i trudno utrzymać je w bezruchu na wietrze przy dłuższym czasie naświetlania.

Krywań o zachodzie słońca, widok z Kopy Kondrackiej, Tatry Zachodnie



Dwie kolejki linowe – w Polsce na Kasprowy Wierch, na Słowacji na Łomnicki Szczyt – to sposób dla tych, którzy chcą szybko znaleźć się na dużej wysokości, często ponad chmurami. To najlepsze rozwiązanie, gdy szlaki są nieprzetarte, a warunki pogodowe niepewne. Na Łomnicę bilet najlepiej zarezerwować dużo wcześniej. Wagonik na szczyt zabiera co 45 minut tylko 15 osób, a przy pięknej pogodzie chętnych jest znacznie więcej. Trzeba pamiętać, że nawet jeśli na dole pogoda jest już wiosenna, to w górach zima trzyma znacznie dłużej.

Poranny widok z Kasprowego Wierchu na Czerwone Wierchy, Tatry Zachodnie

O świcie i zachodzie jest bardzo zimno, więc trzeba ciepło się ubrać. Czapkę i rękawiczki warto zabierać w Tatry przez cały rok, nawet w lipcu. Przy dużych mrozach należy też zadbać o sprzęt. Akumulatory dobrze jest nosić blisko ciała, bo zimno obniża ich sprawność i może się okazać, że wyładują się po kilku zdjęciach.

Wschód słońca w okolicach Grzesia, Tatry Zachodnie

W góry koniecznie trzeba wziąć statyw, im cięższy i stabilniejszy, tym lepiej, gdyż zimą na szczytach wiatr buja aparatem, a podłoże jest miękkie lub śliskie. Statyw pozwoli też na dłuższe naświetlanie i bardziej precyzyjne wykadrowanie tematu. Obiektyw szerokokątny pozwoli uchwycić całą przestrzeń.

W drodze na Wołowiec, Tatry Zachodnie



Trzeba iść bardzo powoli i wyszukiwać najciekawsze kadry. Warto długo wpatrywać się w temat. Ujrzymy wtedy detale, które przy pobieżnym spojrzeniu wydały się nieistotne. Gdy w umyśle powstanie obraz, łatwiej będzie na zdjęciu pokazać to, co najważniejsze w oglądanej scenie.

W drodze przez Suche Czuby Kondrackie, Tatry Zachodnie

Niepowtarzalne widoki wynagradzają wszystkie trudy wędrowek,
Tatry zimą to prawdziwa skarbnica kadrów.

Zimowe przejście przez Czerwone Wierchy, Tatry Zachodnie



Naprawdę lubię dyskoteki. Nie tylko w karnawale.
I zawsze się odgrażam, że kiedyś pójde tam nawet tańczyć.

DYSKO PONAD WSZYSTKO



Nie muszą być daleko, nie muszą być egzotyczne. Choćby takie Dni Krasnopola (no, to akurat jest egzotyka) na Suwalszczyźnie pokazują jakież to rodzime zespoły gromadzą prawdziwe tłumy. Nie macie Państwo pojęcia! Ja zresztą też nie. To pewnie dlatego, iż nie jestem w stanie spać tych wszystkich anglojęzycznych nazw. Niestety, na poważniejszą eksplorację wiejskich dyskotek nie pozwala mi ani żona, ani obawa o własne użębie.

Ale jak tylko wyjadę za granicę to nikt mnie nie powstrzyma. Wynika to z prostej obserwacji: nic nie mówi tyle o ludziach i jakimś kraju, co wizyta w kilku miejscach: fryzjer, taksówka, lokalny supermarket lub

bazar i wreszcie dyskoteka. Pierwsze dwa to nie tylko niezawodne źródła przygód, o których innym razem, ale i znakomity sposób na zdobycie informacji. Świątynie handlu pokazują nie tylko zasobność tubylców, ale i ich nawyki, a dyskoteki? No cóż, dyskoteki odsłaniają prawdziwe oblicza zrelaksowanych krajowców. W końcu nikt tam nie chodzi pod przymusem, a potrzeba gibanja korpusem tudzież majtania kończynami w rytm muzyki musi być jakimś atawizmem, co widać choćby po obserwacji małpki i kataryniarza. O to, dlaczego ludzie czerpią z tego przyjemność, proszę jednak pytać antropologa. Dość powiedzieć, że czerpią.

No dobra, nie wszyscy, a w każdym razie nie wszyscy w tym samym stopniu. Nie-małym szokiem była dla mnie wieki temu wizyta w Jordanii – pierwszym państwie arabskim, które odwiedziłem. Zasadniczo wiedziałem czego się spodziewać: mułmański kraj, żadnego podrywu, żadnego alkoholizowania się. Ale jednak nie wyjść w sobotni wieczór z hotelu nie da się. Wałęsa się więc człowiek po ulicach i w każdym napotkanym lokalu widzi tylko popijających herbatę dorosłych facetów grających w domino. Przecież to perwersja jakaś! Ich już nawet mecze w telewizji umiarkowanie interesowały, grunt to domino. No, w takim klimacie o dansingi rzeczywiście trudno.

I tu pora na drobne wyjaśnienie: niegdyś z konieczności, a teraz nawet bez względu na zasobność mego portfela staram się podróżować tak, by mieć jak największy kontakt z normalnymi ludźmi. Więc jeśli dyskoteka, to tubylcza: nie dla turystów, nie dla burżujów, bo tylko na takich jest ciekawie. Kierowany tymi pobudkami w czasie podróży poślubnej w Kenii wyruszałem na wiejskie potańcówki w Mtwapie, na wybrzeżu. Te dyskoteki niedaleko hoteli pełne były dam o konduicie nie tyle podejranej, co całkiem jednoznacznej. Do Mtwapy biali się nie zapuszczali, toteż i pań wyceniających swe wdzięki w dolarach było mniej. Skądinąd korzystać z ich usług w kraju o takim odsetku chorych na AIDS mogą chyba tylko nałogowi hazardziści lub dżentelmeni o silnych skłonnościach samobójczych. Mnie wystarczyło piwo, pogaduszki z bywalcami i obserwacje.

Obserwacja pierwsza, jak się okazało, uniwersalna, bo potwierdzana później w wielu innych krajach: Afrykańczycy uważają za swoją muzykę amerykański hip-hop. Czarnoskórzy raperzy z Harlemu i Bronksu są absolutnymi bohaterami masowej wyobraźni, obiektami westchnień, kreatorami mód wszelakich i wzorcami do naśladowania. Czasem przybiera to postać cokolwiek groteskową, jak wtedy gdy na wiejskiej dyskotekce w Ugandzie spotyka się młodziana przystrojonego w łańcuchy i futro z europejskiego second-handu, sprzedawane w Afryce z ręki czwartej lub piątej. MTV inspirowane również współczesną afrykańską muzyką pop, co powoduje domknięcie koła: hip-hop czerpał z rhy-

thm and bluesa wprost wywodzącego się z murzyńskiej muzyki amerykańskiej, korzeniami tkwiącej w Czarnym Łądzie. Teraz to hip-hop zapładnia muzykę Afryki – pełen recyding.

Zmieńmy jednak, na bliższą nam, strefę klimatyczną. Tu napotkamy na zupełnie inne problemy. Tak się złożyło, że nie gustuję przesadnie w towarzystwie obwieszonych złotem nuworyszy zza wschodniej granicy, co dramatycznie zawęziło mi wybór dyskotek we wszystkich krajach byłego Związku Sowieckiego. Zawsze zasięgałem języka u młodych ludzi dokładnie tłumacząc im, kogo nie chcę spotkać. W mołdawskim Kiszyniowie kilkoro z nich poleciło mi jeden ze stołecznych klubów. Istotnie, wyglądał normalnie, zgodnie z oczekiwaniami, jednak po trzydziestu minutach muzyka umilkła, a na podwyższeniu pojawił się konferansjer informujący o dzisiejszym programie artystycznym: „Dorogije damy i gospoda, pieried wami diewuszka z pytonem!”

To jednak nic w porównaniu z eskapadą, jaką zafundowałem sobie jakieś piętnaście lat temu z koleżanką w Kijowie. Najpierw poznawszy adres jedynej prawdziwie studenckiej dyskoteki kazaliśmy się tam wieść taksówkarzowi. Po pół godzinie jazdy znaleźliśmy się w ciemnym lesie, hen za miastem, co wzbudziło nasze podejrzenia. Niesłusznie – sowiecka urbanistyka zna nie takie cuda i po kwadransie jazdy przez regularne bory znaleźliśmy się znów w mieście.

Studencki lokal okazał się być knajpą ze striptizem, do której swoimi bmw podjeżdżali miejscowi bandyci, by zostać

sponsorami co bardziej okazałych hożych dziewczoj, rzekomo właśnie studentek. Zrezygnowani wróciliśmy na Chreszczatyk. I cóż? Włócząc się bez sensu i celu znaleźliśmy miejsce, które za dnia było regularną stołówką (bo jednak barem trudno to było nazwać), a które w nocy przepoczwarzało się w najnormalniejszą w świecie studencką dyskotekę!

Jako się rzekło, nie tańce głównie (choć w gruncie rzeczy jestem istotą taneczną) wiodą mnie na dyskoteki, ale też tym bardziej nie jest to muzyka. Ta zwykle jest przygodą nie do opisaną. O muzykalności Rosjan napisano tomy: liryczne dumki, skoczne czastuszki, tańce inspirowane nieprzebraną tradycją Azji czy Syberii. Mało? To dorzućcie Państwo całą spuściznę muzyczną wszystkich narodów ojczyzny proletariatu. A rosyjski pop? By przekonać się o jego jakości polecam rosyjskie telewizje muzyczne – można oglądać z wyłączonym dźwiękiem. To (z wyjątkami, jak wszędzie) muzyka, przy której disco polo powinno być grywane w filharmoniach, a i to z najlepszymi dyrygentami i na instrumentach z epoki.

Na nieszczęście grane tam utwory mają też i słowa. Ojczyzna Puszkina i Jesienina wydała z siebie autorów gotowych informować nas w pieśniach lirycznych, iż „jeśli mnie nie usłyszysz, to znaczy, że przyszła zima” (Ałsu) lub o tym, że „padał biały śnieg [zwróćcie Państwo uwagę, że biały – wi-dać, iż dla autora, Walerija Meładze, w czasach zagrożeń ekologicznych to rzadkość], róże nie kwitły, a do nas przyszła wiosenna miłość”. Czego oczywiście i Państwu życzę.



Zamówienie na prenumeratę miesięcznika Poznaj Świat na 2012 r.

Prosimy o odesłanie wypełnionego zamówienia:

- faxem:
- e-mailem: redakcja@poznaj-swiat.pl
- pocztą: **Redakcja Poznaj Świat,**
ul. Jaśkowa Dolina 17, 80-252 Gdańsk

	cena	ilość
ROCZNA PRENUMERATA	99 zł	

Cena 1 egz. - normalna 9,95 zł brutto (w tym VAT)

ZAMAWIAJĄCY (dane do faktury):

.....
(nazwa firmy/imię, nazwisko, ulica, kod pocztowy, miejscowość)

.....
NIP tel./fax e-mail

ADRES WYSYŁKOWY CZASOPISMA: (jeśli jest inny niż podany wyżej)

.....
imię i nazwisko zamawiającego podpis pieczęć





Przemysław Kozłowski

Z IZRAELEM POKOJU **NIE** BĘDZIE

Swoje muzea ma ruch oporu przeciw hitlerowskim okupantom w Danii, Holandii i Norwegii. W Rumunii jest Miejsce Pamięci Ofiar Komunizmu i Ruchu Oporu Sighet. Warszawa ma Muzeum Powstania Warszawskiego. Od niedawna muzeum ma też Hezbollah – Muzeum Islamskiego Oporu Przeciw Okupantom Izraelskim.



Przewodnik włosko- i francuskojęzyczny jest dostępny od zaraz. Na anglojęzycznego trzeba poczekać, bo właśnie oprowadza grupę. Są też przewodnicy mówiący po hiszpańsku, niemiecku i, oczywiście, arabsku. Pokój oczekiwań urządzony jest według reguł wschodniej elegancji – grube zasłony ze złotymi frędzlami, jasnobrązowe skórzane fotele i kanapy, niskie szklane stoliki do kawy, bukiety i kompozycje z żywych i sztucznych kwiatów oraz dwie duże flagi: Libanu i Hezbollahu. Przez otwarte drzwi widać dostojnie przechadzających się, poważnych i milczących brodaczy – strażników Partii Boga. Po pół godzinie i trzech piekielnie mocnych kawach, podawanych przez jednego z nich, pojawia się przewodnik – trzydzieści lat, ta sama powaga na twarzy, trzydniowy zarost. Przeprasza, że trzeba było czekać. – *Zacznijmy zwiedzanie od obejrzenia filmu* – proponuje i prowadzi do sali kinowej.

CZARNO NA BIAŁYM

Pierwszy film ma tytuł „Niemy świadek”, jest po arabsku, więc przewodnik tłumaczy szeptem słowa lektora i objaśnia, co widać na ekranie. Świadkiem jest krogulec zwyczajny, drapieżny ptak z rodziny jastrzębiowatych. Krąży nad arabską ziemią i obserwuje z góry całe zło, jakiego doświadcza ona od 1948 roku, kiedy to wtargnęli na nią Żydzi i utworzyli swoje państwo. Ten szybujący ptak został umieszczony w logo muzeum. Jest on, jak wyjaśniono w poetycki sposób na stronie internetowej muzeum, uparty, pewny i niezaznający spokoju. Krogulec nie akceptuje ani porażki, ani odwrotu, a jego mięso jest gorzkie i niejadalne niczym owoc dębu.



Dokument zaczyna się w latach 1940. Na czarno-białym filmie widać wojskowy posterunek. Żołnierze w angielskich mundurach i hełmach przeszukują brodatego starca zakutanego w kefię. – *Spójrz, Żydzi dręczą Palestyńczyka* – podpowiada przewodnik. Dalej film robi się bardziej brutalny i krwawy. Izraelskie naloty na arabskie miasta. Drżąca kamera podąża za pędzącą karetką czerwonego półksiężyca, w kolejnym ujęciu samochód leży przewrócony po trafieniu izraelskim pociskiem. W środku zmasakrowane ciała dzieci. Dalej okupacja izraelska Libanu i walki Hezbollahu z okupantem, brodaci żołnierze strzelający z katiuszy, zasadzka na izraelski konwój, trupy, dym, ogień.



NIE MA JESZCZE KARUZELI

Drugi film opowiada o powstaniu muzeum. Miejsce jest nieprzypadkowe. Znajduje się na wzgórzu Mlita, gdzie w latach 1985-2000 stacjonowali bojownicy Hezbollahu. Była to pierwsza linia obrony w okupowanym południowym Libanie – tzw. strefa bezpieczeństwa. Stąd wysyłano mudżahedinów na akcje przeciw izraelskiej armii, która czyniła wiele wysiłków, by zająć to strategiczne wzgórze. Gdyby Mlita padła, padłyby kolejne okoliczne punkty oporu w wioskach Loueize, Ein Bouswar, Jebaa i innych. Wzgórze jednak nigdy nie zostało zdobyte, a w 2000 roku armia izraelska wycofała się z Libanu.

W ciągu dwóch lat, na powierzchni 60 tys. m², wybudowano tu kosztem 4 milionów dolarów nowoczesne obiekty wystawowe, administracyjne i modlitwne, z osobnymi wejściami i miejscami ablucji dla mężczyzn i kobiet (wszystkie budynki przypominają wielkie bunkry). Wyznaczono parking na 200 samochodów i 20 autokarów, zaaranżowano ekspozycję plenerową, udostępniono infrastrukturę zbudowaną wcześniej przez bojowników – schrony, okopy, tunele, bunkry. Pracowało nad tym ponad pięćdziesięciu architektów i inżynierów z całego kraju. Otwarcie muzeum odbyło się w maju 2010 roku, w dziesiątą rocznicę wycofania izraelskiej armii z Libanu.

WYSTAWA ŁUPÓW

Broń, hełmy, strzepy mundurów, nosze, skrzynie, maski gazowe... to wszystko zdobyczny sprzęt izraelski.

Już dziś miejsce ma trochę charakter disneyowskiego parku rozrywki. Dzieci mogą wdrapać się na zniszczony izraelski czołg i pozować do zdjęcia w hełmie wroga na głowie, a dalsze plany rozwoju zakładają jeszcze budowę basenów, spa, boisk, hotelu, kempingu, a może i kolejki linowej.

BEZSILNY W „PIEKLE”

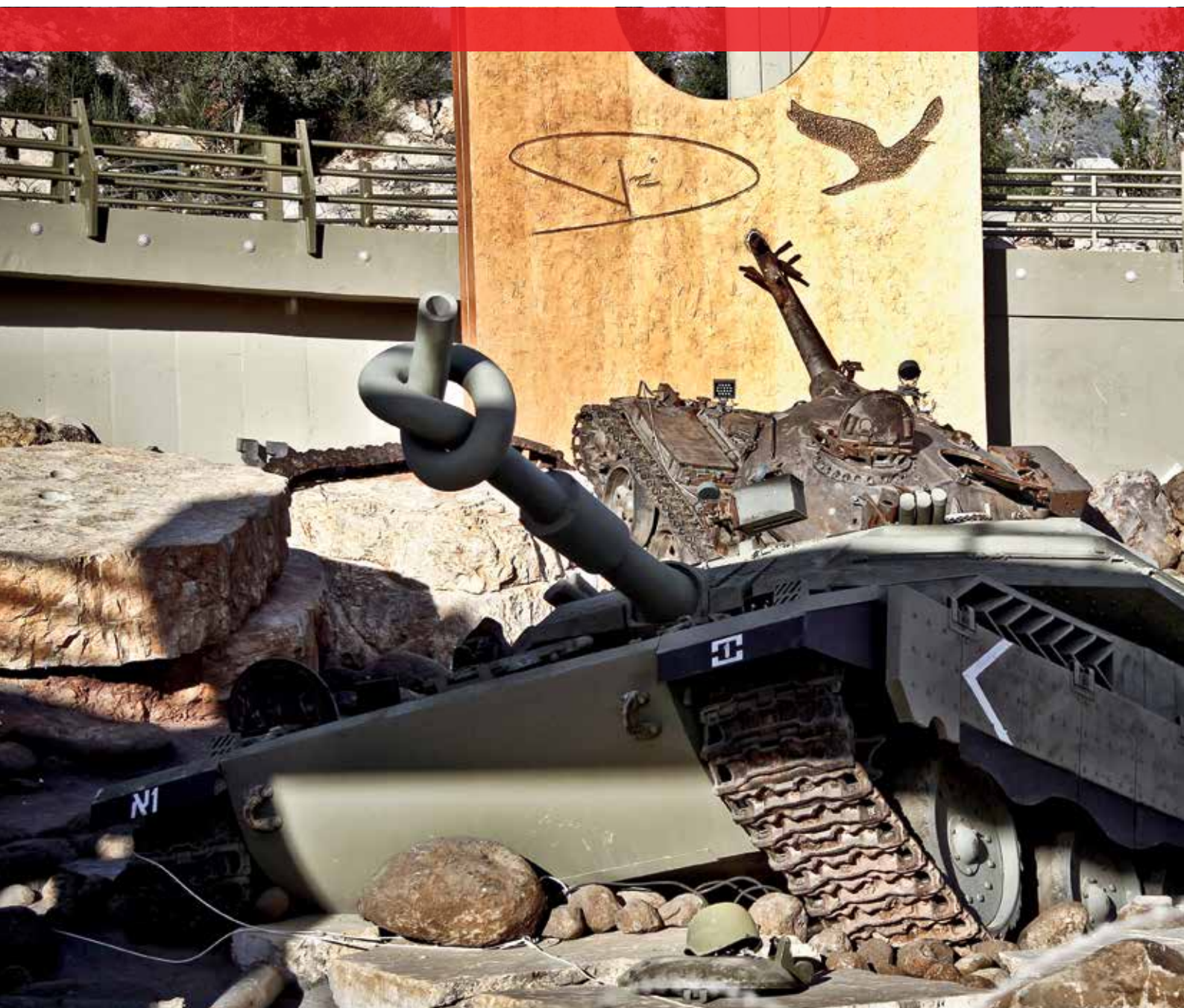
Unieszkodliwiony izraelski czołg merkawa.

– Przez dziesięciolecia ludzie w południowym Libanie byli pozbawieni możliwości takich rozrywek. Tu

będą mogli przyjechać i spędzić prawdziwe wakacje – rozmarza się przewodnik.

ZABIJEMY, ILU SIĘ DA

Z sali kinowej przechodzimy do pawilonu ze stałą ekspozycją. W szklanych gablotach oraz w niszy poniżej poziomu podłogi umieszczono zdobyczny



sprzęt izraelski. Czegoż tu nie ma: karabiny, amunicja, miny, hełmy, nosze, sprzęt radiotelegraficzny, maski gazowe, buty i strzępy mundurów, skrzynie i tabliczki z hebrajskimi napisami. Na ścianach pogładowe tablice ze zdjęciami i różnymi informacjami.

– *To dane zdobyte przez nasz wywiad – chwali się przewodnik – czyli cała struktura organizacyjna IDF (Sił Obrony Izraela): kto czym dowodzi, jakie ma*

uzbrojenie do dyspozycji, gdzie stacjonuje. A tu zdjęcia satelitarne z dokładnymi współrzędnymi obiektów, które zniszczymy w następnej wojnie – dworce kolejowe, porty, lotniska. To, na przykład, zdjęcie dworca w Hajfie, a to reaktor atomowy Dimona na pustyni Negew. Na kolejnej tablicy zdjęcia izraelskich polityków i wojskowych do odstrzału oraz tajemniczy zapis „1982-2006 1:1, 2006-? 1:?” – To znaczy, że do 2006 roku za jednego zabitego bojownika odpłacaliśmy śmiercią jednego izraelskiego żołnierza, a w przyszłości będziemy odpowiadać śmiercią... – tu przewodnik się zawahał.

– *Tylu ilu się tylko da?* – dopytuję.

– *O właśnie!* – cieszy się z podpowiedzi.

– *A nie obawiacie się, że Mossad przysle tu szpiegów i pozna wasze plany?*

– *Oni tu ciągle wysyłają szpiegów – mówi i wbija mi świdrujące spojrzenie w oczy – ale to wszystko jest jawne. O! Słyszysz?*

– *Nie.*

– *Przeleciał izraelski samolot szpiegowski.*

– *Skąd wiesz, że izraelski?*

– *Bo Liban nie ma takich szybkich.*

W PIEKLE I WOKÓŁ NIEGO

Czas pospacerować w plenerze. Zaraz za wyjściem z pawilonów zaczyna się „Piekło”. Tak nazwano wielki krater, w którym zgromadzono masę ciężkiego sprzętu pozostawionego przez izraelską armię. Została ona pokonana i strącona w piekielną otchłań. To miejsce gęste od symboliki. Pośród kamieni, worków z piaskiem, drutów kolczastych i hełmów, poukładanych niczym bruk, pozornie walają się (w rzeczywistości starannie zaaranżowane) działa, wozy bojowe, dżipy, czołgi Merkawa – duma izraelskiego przemysłu zbrojeniowego.

Jeden z nich ma lufę zawiązaną na supeł, co symbolizuje niezdolność do dalszej walki. To samo oznaczają działa z lufami zatopionymi w betonowych ścianach. Potłuczona konstrukcja przypominająca szklarnię to symbol izraelskiego domu, który zostanie zniszczony w czasie przyszłej wojny, a nagrobek z gwiazdą Dawida oznacza totalną zagładę izraelskiej armii. Lufa innego czołgu ugrzęzła w ścianie pomalowanej na złoto z wygrawerowanym krogulcem zwyczajnym i podpisem Imada Mughniyeha – jednego z założycieli Partii Boga i szefa jej sekcji bezpieczeństwa. Ten był student wydziału inżynierskiego na Amerykańskim Uniwersytecie w Bejrucie uznawany jest za terrorystę bojownika, który zabił najwięcej obywateli USA przed wrześniem 2001.





FOT. PRZEMISŁAW KOZŁOWSKI

DO ODSTRZAŁU

Turystka z Jordanii mija tablicę ze zdjęciami izraelskich polityków i wojskowych.

– *To symbol wielu nieudanych żydowskich zamachów na życie Imada – objaśnia przewodnik.*

– *Ale w końcu im się udało?*

– *W końcu tak... Mughniyeh, który organizował szycką guerillę również w Mlicie, zginął w 2008 roku w wybuchu samochodu pułapki pod Damaszkiem.*

Przez pewien okres przebywał w Mlicie także Abbas al-Musawi – drugi sekretarz generalny Hezbollahu. Tu nauczał i szkolił lokalnych szyckich mężczyzn i chłopców, przekształcając odwiecznych pariasów Lewantu, pogardzanych i wykorzystywanych przez sunnitów, chrześcijan i druzów, w dumnych mudżahedinów. Za „Piekłem” zaczyna się teren oryginalnie zagospodarowany i wykorzystywany przez bojowników. Na początku szlaku znajduje się skalna niszka zamaskowana siatką ochronną. W niej spłwiała, pomarańczowy modlitewny dywanik, a na drewnianym stoliku otwarty Koran. Nad nim w złotej ramie fotografia mężczyzny w czarnym turbanie, z gęstą czarną brodą oraz w okularach grubych i czarnych jak telewizory. Lekko rozchylone w modlitwie usta, a zza okularów ufnie spojrzenie skierowane w górę. Tu modlił się Abbas al-Musawi, nie przypuszczając, że jadąc w 1992 roku w konwoju samochodem z żoną i synem zostanie trafiony rakietą wystrzeloną z izraelskiego śmigłowca apache. Po tym śmiertelnym zamachu na stanowisku sekretarza generalnego zastąpił go

Hassan Nasrallah, który sprawuje tę funkcję do dziś.

Mijając niszę modlitewną al-Musawiego, wchodzimy w labirynt okopów. Dokoła w krzakach i między drzewami czają się doskonale zamaskowani bojownicy z kałasznikowami, inni obsługują katiuszę, jeszcze inny opatruje rany towarzysza broni. To oczywiście tylko modele. Dalej, stanowiska karabinów maszynowych i moździerzy, bunkry i w końcu jaskinia, czyli dwustumetrowej długości tunel wykuty w ciągu trzech lat w wapiennej skale, mieszczący pokoje operacyjne, mieszkalne i modlitewne, kuchnię i składy broni. Z jaskini ścieżka pnie się na punkt widokowy, gdzie stoją potężne maszty z flagami Libanu i Hezbollahu i skąd rozciąga się sielska panorama okolicznych wzgórz. Dalej ścieżka prowadzi zwiedzających na „plac wolności” – ogród, gdzie pośród kwiatów i klombów zgromadzono jeszcze więcej używanej w bojach przez Hezbollah ciężkiej broni, jak choćby rakiety irańskiej produkcji z napisem „zemsta boga”.

HEZBOLLAH GOOD? ISRAEL BAD?

Odwiedzających jest mało, bo to dzień powszedni.

– *W wolne dni są tu tłumy – mówi przewodnik.* Na osobiste tematy nie chce rozmawiać, ani tym bardziej dać się sfotografować. Mówi tylko, że ma



30 lat, na imię Ahmad, a do Hezbollahu wstąpił jako nastolatek.

– Czy walczyłem? Nie, nie wszyscy muszą. Mamy też służby cywilne, do których ja należę – odpowiada nieco zawstydzony, nieco rozdrażniony. – Hezbollah to nie tylko armia, mamy swoje szkoły, szpitale, media. Pomagamy tym, którzy nie mogą liczyć na pomoc państwa.

Zwiedzający na pytanie o wrażenia reagują ze zdziwieniem: jakżeby-miało-nam-się-tu-nie-podobać?

Trójka młodych Jordańczyków na wakacjach:

– Nie wyobrażaliśmy sobie, że tu aż tak ciężko było. Ile musieli przejść ci bojownicy, aby doczekać wyzwolenia. Szkoda, że w Jordanii nie ma takiego muzeum.

Młodzi ludzie przeciskający się przez okopy z dziecięcym wózkiem przyjechali z Bejrutu:

– To fascynujące miejsce! Napawa nas dumą, że jesteśmy Libańczykami.

Chłopak w bejsbolówce z sąsiedniej wioski, który wpada tu często w wolnych chwilach, sam zaczyna wypytwać:

– Moje imię Ali, to po pierwszym imamie. A twoje co znaczy? Hezbollah good? Israel bad?

Abdullah przyjechał z żoną, która trzyma się cały czas kilka kroków za nim i dwuletnim synkiem, którego fotografuje komórką jak drepcze po merkawie:

– Kiedys odwiedziłem muzeum w Chiam na samym południu Libanu. Tamto miejsce mnie przygnębiło i napełniło wielkim smutkiem. Wzgórze Mlita

przepłnia mnie radością i wiarą, że jesteśmy silni. W Chiam w czasie okupacji był obóz prowadzony przez współpracującą z Izraelem chrześcijańską Armię Południowego Libanu, w którym więziono i torturowano przeciwników. Po wyzwoleniu Hezbollah urządził tam muzeum, które w czasie wojny w 2006 roku zostało przez izraelską armię zniszczone. Czy w następnej wojnie muzeum w Mlicie też zostanie zbombardowane?

Żegnając się z Ahmadem pod sklepem z pamiątkami, pytam o szanse na pokój z Izraelem.

– Pokoju nie będzie. Oni wciąż okupują nasze ziemie, Farmy Szeby. Poza tym w ich politykę jest wpisana wojna co pięć lat.

– Ale ostatnią wojnę w 2006 roku spowodował Hezbollah, zabijając trzech i porywając dwóch izraelskich żołnierzy – oponuje.

– Porwaliśmy ich, by wymienić na naszych braci przetrzymywanych w żydowskich więzieniach. A dla syjonistów to był tylko pretekst, żeby zacząć nową wojnę, którą faktycznie zaplanowali już na długo wcześniej.

– A jeśli – dopytuję naiwnie – Izrael odda Farmy Szeby, pozwoli na utworzenie w pełni niepodległego państwa palestyńskiego i zmieni swą wrogą politykę wobec państw arabskich na przyjazną i pokojową, to czy wtedy będzie pokój?

– Nie. Nie będzie pokoju, dopóki istnieje państwo Izrael. To państwo nie ma prawa bytu – ucina rozmowę Ahmad i pyta, czy na pamiątkę wizyty wolę koszulkę, czy czapeczkę z daszkiem. ○

TURYSTYKA DŻIHADU

Rodzina z Bejrutu w okopach mudzahedinów z Hezbollahu.



Narty na serio

Katarzyna Rojek

Wiele jest osób, dla których wyjazd na narty wiąże się z różnorodnymi atrakcjami, a same narty są tylko jedną z nich. Gdy warunki śniegowe nie sprzyjają jeździe lub ruch na stoku jest za duży, wybierają przytulną knajpkę i dalej bawią się dobrze. Jednak są też tacy, którzy każdą chwilę pragną spędzić na szusowaniu. Dla nich, traktujących narty poważnie, marzących o doskonałych warunkach i będących w stanie wydać na te przyjemności każde pieniądze, idealnym miejscem jest Trysil.



W KOLEJCE DO SALTA
Na miłośników śnieżnych ewolucji
czeka ciekawy snowpark.



Po bardzo krótkim przelocie z Gdańska wyśiadłam na lotnisku w Oslo i od razu odczułam diametralną różnicę pomiędzy tymi nieodległymi przecież miastami. Krew w żyłach zmroziły horrendalnie wysokie ceny w sklepach i przeraźliwie niska temperatura na zewnątrz. Kanapka i sok

w lotniskowej kafejce kosztowały ok. 80 złotych, zaś mróz za oknem sięgał niemal 20 stopni. Po ponad dwugodzinnym przejeździe autokarem dotarłam do hotelu w Trysil. W recepcji czekała gorąca kawa, napój podobno uwielbiany przez Norwegów i spożywany przez nich w ogromnych ilościach o każdej porze dnia. Mój wzrok od razu przyciągnęły mapki tras narciarskich wyłożone w hotelowym lobby. Były w trzech językach – norweskim, angielskim i rosyjskim.

– Czy przyjeżdża tu tak wielu Rosjan? – spytałam przedstawicielki ośrodka narciarskiego Skistar.
– Nie więcej niż Polaków czy innych narodowości, jednak tylko oni zgłaszali nam problemy ze zrozumieniem angielskich i norweskich materiałów, więc specjalnie dla nich przygotowaliśmy mapki po rosyjsku. Teraz są bardzo zadowoleni.

Przez resztę mojego pobytu w Trysil wciąż odnosiłam wrażenie, że to główna cecha Norwegów – za wszelką cenę sprawić, aby goście byli zadowoleni.



OD JESIENI DO WIOSNY, OD ŚWITU PO ZMIERZCH

Trysil to miejscowość położona we wschodniej części Norwegii, blisko granicy ze Szwecją. Krajobraz miasteczka nie urzeka, brak mu uroku górskich miejscowości, które wiecznie tętnią życiem. Nie ma wszechobecnych knajpek, dyskotek, sklepików z pamiątkami, wiecznego gwaru i nocnych szaleństw. Jest za to 65 tras zjazdowych o łącznej długości 71 km i 31 wyciągów, co czyni Trysil największym norweskim kurortem narciarskim.

Sezon narciarski jest tu bardzo długi – rozpoczyna się 31 października i trwa do 2 maja. Wtedy śniegu nie brakuje właściwie nigdy, ale na wszelki wypadek ośrodek wyposażony jest w największy

i najnowocześniejszy w Norwegii sprzęt do sztucznego naśnieżania. Władze Trysil są do tego stopnia pewne dobrych warunków dla narciarzy, że oferują im gwarancję śniegu – w sensie dosłownym. Gdyby zima, wbrew wszelkim oczekiwaniom, jednak zawiodła, Trysil zwraca pieniądze wszystkim, którzy opłacili pobyt.

Już następnego dnia po przybyciu udało mi się porządnie zmęczyć na stoku. Nic mi w tym nie przeszkadzało – nie było kolejek do wyciągów, tłoku na stokach, a trasy były świetnie przygotowane. Miałam też szczęście, bo akurat był wtorek – w te dni oraz we wszystkie piątki i niedziele, stoki są oświetlone do godziny 20.00. Ja zjechałam na dół trochę wcześniej. Podczas kolacji na stoku obserwowałam sporą grupkę młodzieży imprezującej

RAZEM NA GÓRĘ, OSOBNO W DÓŁ

W Trysil cała rodzina może wjechać razem na górę, by zjeżdżać w zależności od stopnia zaawansowania trasami o różnej skali trudności.



FOT. S. STOKER

TAJEMNICA SPORTOWYCH SUKCESÓW

Norweskie dzieci od najmłodszych lat zachęca się do uprawiania sportów. W Trysil dzieci do szóstego roku życia jeżdżą za darmo – o ile mają kaski.

w restauracji, pijącej, śpiewającej i wychodzącej z lokalu bez kurtek, by wytarzać się w śniegu. Wołałam nie znaleźć się na ich drodze, kiedy będą opuszczać trasę. Zastanawiałam się, jak dadzą radę zjechać o własnych siłach, możliwe jednak, że mieszkali w którejś z licznych chat w pobliżu stoku. To świetne rozwiązanie, rano wystarczy wpiąć narty i zjechać do wyciągu, a i po wieczornej imprezie nie trzeba daleko wracać.

Po pełnym przyjemnego wysiłku dniu czekało mnie spore wyzwanie – nazajutrz musiałam wstać przed świtem. W każdą środę i sobotę (od 10 lutego do 10 kwietnia), trasy są otwarte od samego rana. Na „Early Morning Ski” trzeba jednak dokonać rezerwacji z jednodniowym wyprzedzeniem, bo na stoki wpuszcza się nie więcej niż sto osób. Siarczysty mróz nadawał jeździe niemal ekstremalnych waleń, ale poczucie, że ma się cały stok jedynie dla siebie jest spełnieniem marzeń chyba każdego narciarza, a jazda po świeżo przygotowanym sztruksie szybko rozgrzewa zmarznięte na wyciągu kości.

W OJCZYŹNIE TELEMARCU

Choć 71 kilometrów tras narciarskich nie jest oszałamiającą długością, to jednak każdy narciarz znajdzie w Trysil coś dla siebie. Są tu zielone, niebieskie, czerwone i czarne trasy. Jest też snowpark o zróżnicowanej trudności przeszkód. To także idealne miejsce, by poćwiczyć jazdę telemarkiem – ten elegancki styl wywodzi się właśnie z tych rejonów Norwegii. Ze wszystkich udogodnień na stokach, mnie najbardziej podobały się te stworzone z myślą o najmłodszych. Dzieciaki mogą jeździć po specjalnych trasach, gdzie minislalomy wyznaczają dmuchane tyczki z bajkowymi wizerunkami, na drzewach siedzą gadające kruki, a w tle leci wesoła muzyeczka. Wyciągi orczykowe również dostosowano do potrzeb dzieci – są mniejsze i wolniejsze. Dla zupełnie małych narciarzy jest nawet karuzela z orczykami, sunąca powolutku przy

SZYBKI SZUS PO SZTRUKSIE

Świetnie przygotowane trasy zachęcają do zjazdowych szaleństw.



FOT. SKISTAR TRYSIL



WIŚTA WIO, WSZYSTKIE MOJE PIESKI!

Podczas jazdy psim zaprzęgiem można być na zmianę pasażerem i „woźnicą”.

samej ziemi, tak, aby szkraby, które ledwo posiadały zdolność chodzenia, mogły bezstresowo nauczyć się wsiadać na wyciąg. Zazdrość mnie brała, kiedy przypominałam sobie swoje pierwsze doświadczenia z wyciągiem typu „wyrwaczka”, który w pełni na tę nazwę zasługiwał.

ŁOŚ I ŁOSOŚ NA STOKU

Mroźne powietrze i wysiłek fizyczny wzmagają apetyt. Miłośników tradycyjnej kuchni polskiej nie zawiedzie tradycyjne norweskie danie, serwowane również w restauracjach na stokach – kotlet z ło-



sia à la schabowy. Warto też skosztować słynnego norweskiego łososia, który jest tu bardzo smacznie przyrządzany. Amatorzy wysublimowanej kuchni na pewno zechcą spróbować norweskiego fondue. W rondelku z rozgrzanym olejem macza się kawałki mięsa – wołowego, wieprzowego czy z renifera. Jeszcze deser – gofry z bitą śmietaną popite gorącą czekoladą i można z powrotem śmigać na stok i próbować spalić kalorie.

BIEG PRZESZ ŚNIEG

Norwegia słynie z bujnej, nieposkromionej i czystej przyrody. Trysil otaczają rozległe lasy i równiny, które można przemierzać na nartach biegowych po liczących 100 kilometrów trasach. Alternatywnym sposobem jest jazda psim zaprzęgiem – tego w Norwegii trzeba spróbować. Gdy podjechaliśmy do ośrodka organizującego takie przejażdżki, nokoło panowała niemal niczym niezmącona cisza, którą nagle przerwał jazgot wydobywający się z 65 psich gardeł. Wbrew pozorom nie była to oznaka wrogości wobec zbliżających się intruzów, a wręcz przeciwnie, niepoohamowana radość na zapowiedź przejażdżki. Psy były bardzo przyjazne i nie mogły opanować entuzjazmu – wyły, szczekały, wspinały się na budy i na siebie nawzajem, skakały na gości, liżąc ich po twarzach. Właściciel wpiął je do sań, po 6 psów w każdym zaprzęgu: w pierwszej parze biegły najmądrzejsze, w następnej najszybsze, zaś na końcu najsilniejsze. Po chwili zaczęła się szaleńcza jazda, która sprawiała radość wszystkim.

NARTY W NORWEGII? TAKK!

Norwegowie to niezwykle kulturalni ludzie. Kilka razy czułam się wręcz zakłopotana z tego powodu, choćby wtedy, gdy szłam chodnikiem, a przejeżdżające obok samochody zatrzymywały się na wypadek, gdybym nagle zechciała przejść przez jezdnię. Słuchając niezrozumiałego dla mnie norweskiego języka, wychwytywałam często powtarzające się, znajomo brzmiące słowo „takk”. Nie oznacza ono potwierdzenia, a podziękowanie. Za ten zimowy wyjazd, warunki panujące na stokach i miłą atmosferę, mówię Norwegii: takk! ○

KAMIEŃ LĘDŹWIOWY

Tak hiszpańscy konkwistadorzy nazywali jadeit.

Wierząc, że chroni przed dolegliwościami, nosili wykonane z niego amulety.





Krystyna Słomka

TOKSYCZNE MEXICO CITY

Trujące chemikalia zawarte w powietrzu sprawiają, że każdego roku umiera cztery tysiące mieszkańców stolicy Meksyku. Miejscowa Komisja Praw Człowieka oceniła poziom zanieczyszczeń jako „naruszający ludzkie prawo do życia w zdrowym środowisku”.



FOT. SHUTTERSTOCK

GDZIE SPOJRZEĆ – MEKSYK

Meksykańskie megalopolis jest uznawane za trzecią największą, po Tokio i Seulu, aglomerację miejską świata.

Negatywny wpływ toksycznego powietrza objawiający się osłabieniem, zawrotami głowy czy przyspieszeniem akcji serca odczuwają głównie turyści z dolegliwościami dróg oddechowych lub układu krążenia. Alergicy zaś i astmatycy borykają się z pieczeniem oczu, łzawieniem, dusznościami, a nawet kłopotami z oddychaniem. Nie ma w tym nic dziwnego, skoro samo miasto też się dusi: z niedostatku tlenu, nadmiernego smogu i przeludnienia.

MEKSYKAŃSKIE PLAGI

Meksyk leży na wysokości 2.200 -2.400 m n.p.m. i jest jednym z najwyższych położonych miast świata, co jednak nie wymaga jeszcze od przybyłych wspomagania się tlenem z butli. Stałym mieszkańcom, którzy oswoili się z trudnymi warunkami bytowania, lekarze doradzają od czasu do czasu dłuższe pobyty na nizinach. Ciągłe przebywanie na tak znacznej wysokości odbija się na kondycji układu krążenia i systemu nerwowego. Niedobór tlenu

WYSPA W MORZU URBANIZACJI

W latach 1940. w Xochimilco, jednej z szesnastu dzielnic miasta Meksyk, mieszkańcy pływali ukwieconymi łódkami po kanałach. Dziś to atrakcja dla turystów.



FOT. TRYSTWA SŁOWA



FOT. KRYSZYNA SŁOWKA

KAMIEŃ NA KAMIENIU

Największa i najstarsza w Ameryce katedra Metropolitalna na Plaza de la Constitucion powstała w samym centrum dawnej azteckiej stolicy Tenochtitlán. Budowę rozpoczął hiszpański zdobywca Hernán Cortés, a kamienie z azteckich piramid posłużyły mu za budulec.

w powietrzu i rozmaite jego następstwa nie są jednak jedyną bolączką metropolii.

Miasto Meksyk – dla odróżnienia od nazwy kraju pisane Mexico, D.F. (Dystrykt Federalny) – jest jednostką administracyjnie wydzieloną. Powstało w miejscu dawnej stolicy Azteków, Tenochtitlán, oraz jeziora Texcoco osuszonego przez kolonizatorów hiszpańskich, po którym jedyną pozostałością są niewielkie słone bagna. Klimat w mieście jest górski, umiarkowany, z racji dużej wysokości mniej uciążliwy od wilgotnego klimatu regionów południowych i Jukatanu. Obfite letnie deszcze, które wspaniale oczyszczają gęste od zanieczyszczeń powietrze, nie trwają tu długo.

Gorzej jest wiosną, gdy temperatury wzrastają do 40°C i brakuje opadów. Wtedy, od lutego do kwietnia, przez stolicę przechodzą burze piaskowe. Z suchego dna jeziora silne uderzenia wiatru podrywają mialki pyłu, który w okamgnieniu zasnuwa całe miasto woalem tak gęstym, że trudno dojrzeć drugą stronę ulicy. Rudy pył przenika przez szpary zamkniętych okien, wdzierając się do oczu, nosa i płuc, powodując zachorowania o rozmiarach epi-

TORTILLA I BURRITO W PAŁACU

Rezydencje hiszpańskich kolonialistów zamieniono na eleganckie hotele i restauracje.



FOT. KRYSZYNA SŁOWKA

ZAMIAST PIRAMIDY

Budynek meksykańskiej giełdy przy bulwarze Paseo de la Reforma.



FOT. KRYSZYNA SŁOWKA

demii. Niejednokrotnie kolejna groźba zmagania z piaskiem mobilizuje mieszkańców do okresowej ucieczki z miasta – najchętniej do Acapulco.

Gorszą plagą, bo utrzymującą się bez względu na porę roku, jest zanieczyszczenie powietrza przekraczające wszelkie pułapy. Ponad połowa meksykańskiego przemysłu ulokowała się w stolicy lub jej otoczeniu. Cztery miliony samochodów i dziesiątki tysięcy fabryk każdego dnia wysyłają w powietrze kilkanaście ton trujących wyziewów. Dolina Meksyku to niecka zamknięta zewsząd wysokimi górami, które blokują naturalne jej wietrzenie, i nad stolicą stale wisi gruba warstwa ciężkiego smogu. Media na bieżąco informują o zawartości w powietrzu szkodliwych gazów, których największe stężenie – za sprawą inwersji termicznej – utrzymuje się w zimie.

Dla poprawy stanu atmosfery przed laty wprowadzono powszechny nakaz instalowania katalizatorów spalin, a z grona fabryk wyrugowano najpoważniejszych trucicieli. Ciekawe rozwiązania przyjęto dla zmniejszenia ruchu samochodowego: raz w tygodniu pojazdy o określonych numerach rejestracyjnych są objęte zakazem poruszania się po mieście. Każdego ranka końcówki tych numerów podawane są do wiadomości, a za nieprzestrzeganie zakazu wystawiane są mandaty.

URBANISTYCZNY POTWÓR

Zabudowa stolicy Nowej Hiszpanii nie przystaje do współczesności. Stare centrum, pełne zgiełku, jest zdecydowanie przeludnione i zapchane pojazdami. Niezliczone autobusy, taksówki i samochody, przebijając się przez ciasne uliczki, powodują ustawiczne korki. Wciąż wyburza się zabytkowe kamieniczki, aby poszerzyć ulice lub wręcz przemienić je w przelotowe arterie. Przez długie lata myśl o budowie metra wydawała się nierealna, czego powodem miało być zbyt miękkie podłoże. Z czasem zadziałały nowe technologie i miasto przecięło dziewięć krzyżujących się linii o łącznej długości 160 kilometrów. Odtąd o każdej porze podziemne stacje wyrzucają w centrum tysiące pasażerów.

Miasto Meksyk z 23 milionami mieszkańcami jest najludniejszą aglomeracją świata. Dzieli się na 350 colonias, czyli dzielnic o typowo dla krajów ubogich zróżnicowanym standardzie: ciasne ulice kolonialnego centrum przechodzą w przestronne, bogate przedmieścia, poza którymi pobudowały się dziesiątki dzielnic slumsów. Skupiska biedoty przybyłej do stolicy w poszukiwaniu sposobu na życie wręcz oblegają miasto. Społeczność stołeczna

zajmuje przeszło 2.500 km² i wypełniwszy wpięć rozległe dno byłego jeziora, wspina się na okalające je nagie zbocza. Statystyki podają, iż prawie 40% domów nie ma wody, elektryczności, kanalizacji.

Wciąż rozwijające się miasto Meksyk zużywa coraz więcej wody, co prowadzi do wyczerpywania zasobów wód podziemnych i tak zwanego kurczenia się poduszki wodnej, a to z kolei jest przyczyną osiadania wielu budowli (Pałac Sztuk Pięknych z białego marmuru od 1934 r. pograżył się prawie 5 metrów!). Wizja niepewnej przyszłości wymogła sprowadzanie wody dla miasta z bardzo odległych rejonów.

MIASTO WYSTĘPKU

Mimo podejmowanych prób, stolicy nie udało się zahamować ciągłego przyrostu liczby mieszkańców; przy wysokim przyroście naturalnym i ogromnym napływie wiejskich imigrantów żadne działania nie są wystarczająco skuteczne. Ogromna większość meksykanów żyje więc bardzo ubogo.

PIERZASTY FOLKLOR

Potomkowie dumnych Azteków tańczą już tylko dla turystów.



Brak pracy powoduje, że nawet marnie opłacane etaty dzielone są na cząstki, aby więcej rodzin otrzymywało jakiejkolwiek dochody.

Jak wszędzie, niskiemu poziomowi życia towarzyszy przestępczość: powszechne są kradzieże kieszonkowe dokonywane przez młodocianych złodziei w tłocznych i licznie odwiedzanych przez turystów miejscach, coraz więcej też notuje się napadów rabunkowych. Skorzystanie z przypadkowej taksówki może okazać się dla obcokrajowca niefortunnym wyborem, gdyż w nich także zdarza się sporo wymuszeń.

Policja robi co może, by ratować reputację miasta, toteż jej zastępy na ulicach są nadzwyczaj liczne. Przynosi to efekty na tyle, że przynajmniej w strefach turystycznych można się czuć w miarę bezpiecznie.

Wszelkie uciążliwości Meksyku tracą jednak znaczenie wobec świadomości obcowania z ziemią Azteków – świadkiem ich wielkości i tragicznego końca. ○

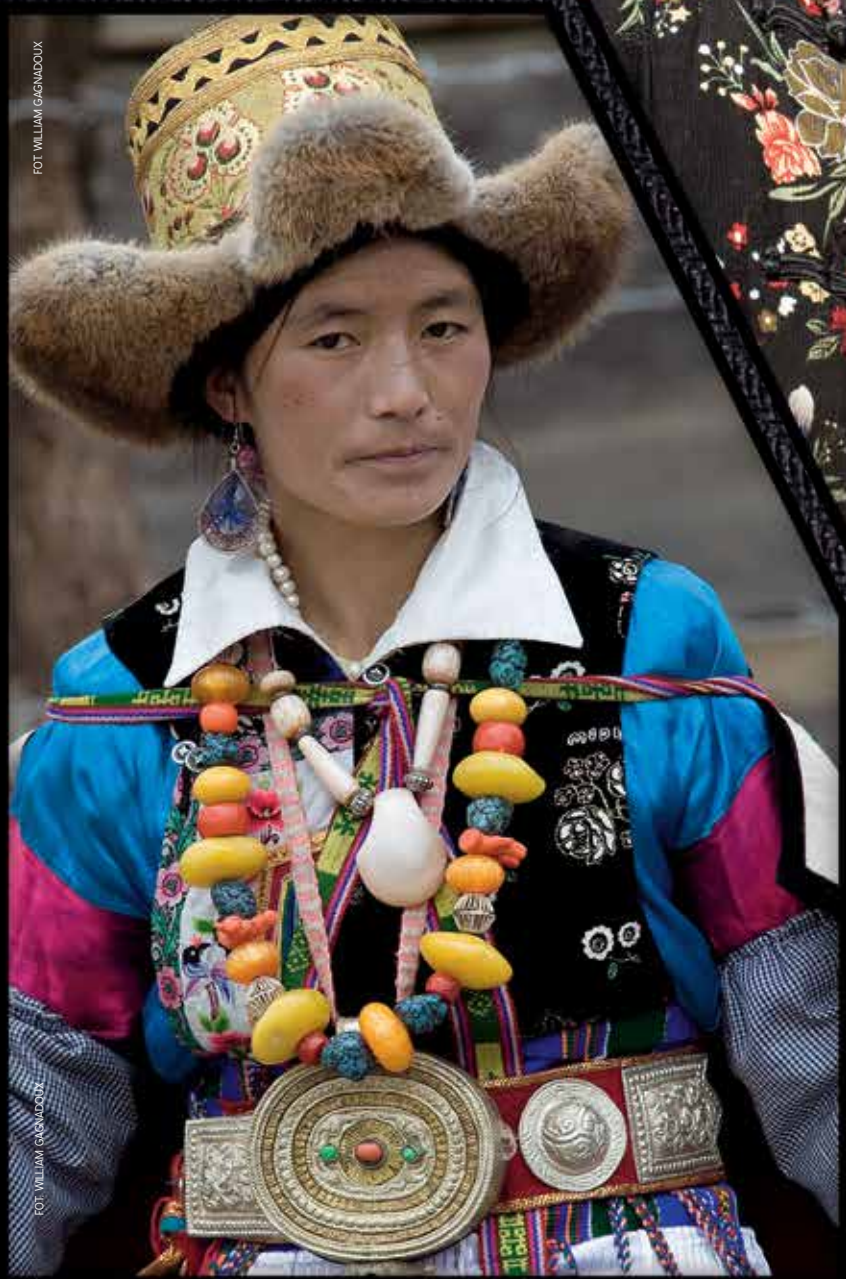
DIEGO RIVERA W PALACIO NACIONAL

Murale tego popularnego komunistycznego artysty ozdabiają dziś Pałac Rządowy, zbudowany na ruinach siedziby Montezumy, władcy Azteków.

Kobieta z północnego Junanu, region Shangri La. Dla plemion tybetańskich wystawianie języka oznacza skromność oraz oznakę szacunku dla innych. Jeśli przy tym złożą dłonie, oznacza to pozdrowienie.



FOT. WILLIAM GAGNADOUX



FOT. WILLIAM GAGNADOUX

FOT. WILLIAM GAGNADOUX

Kobieta z północnego Junanu (region Shangri La). Ubrana w odświętny strój noszony podczas ceremonii, festiwali i ślubów. Elementy kapelusza oraz buty zrobione są króliczym futrem.



World Wide Tribes Heritage

Tybetańskie mniejszości etniczne żyją głównie na terytorium Tybetańskiego Regionu Autonomicznego, ale można je spotkać również w prowincjach Qinghai, Gansu, Syczuan i Junan. Większość Tybetańczyków ma długie włosy, choć w ostatnich latach – poprzez wpływ z Chin – niektórzy mężczyźni ścinają je na krótko. Kobiety noszą dwa warkocze, a dziewczynki jeden. Z powodu chłodnego klimatu kobiety i mężczyźni noszą długie stroje z grubych materiałów, zwane chuba. Chuba mężczyzny jest nieco krótsza, zaś pod nią noszą spodnie. Ubiory tybetańczyków różnią się między sobą w zależności od regionu, koczownicy często noszą wersję ze skóry owczej. Sztuka tybetańska ma głęboko religijny charakter, przejawia się w bogato zdobionych posągach w buddyjskich klasztorach, poprzez drewniane rzeźby i dekoracyjnie malowane thanki. Sztuka jest widoczna w każdym aspekcie życia tybetańczyków.



Młody mężczyzna z tybetańskiej grupy etnicznej z regionu Syczuan. Jego długie włosy splecione są z czarną wełną i ozdobione dekoracjami z kości słoniowej oraz jaspisu.



Mołdawia, gdzie ludzie mówią w różnych językach: mołdawskim, rumuńskim, rosyjskim i gagauskim – jest krajem sprzeczności. Ster władzy trzymają kulejące partie komunistyczne, mimo iż kraj jest niepodległy i widać, że brnie w kapitalizm. Przystąpienie do Unii Europejskiej uniemożliwia mu sprawa Naddniestrza, a poza tym społeczeństwo waha się między niepodległością a federacją z Rosją lub Rumunią.

Filip Drzewiecki

Na krańcach Unii



W Kiszyniowie mieszkamy z Gosią u rodziny Alexa, znajomego Mołdavianina. Jego mama o złotym sercu gości nas czym chata bogata. Co wieczór inna miejscowa potrawa i rozmowy z posmakiem lokalnego wina. A my planujemy wypady po kraju – mi szczególnie zależy na podziemnym mieście Cricova, a Gosi na tańcach mołdawskich. Nie przypadkiem trafiliśmy tu w takim terminie: 27 sierpnia odbywają się obchody Dnia Niepodległości. Z tej okazji na placu Zgromadzenia Narodowego organizowany jest co roku festi-

wal z koncertami największych gwiazd sceny mołdawskiej. Z początku klimat jest raczej festynowy, ku memu zaskoczeniu słyszę grane na żywo „Dragostea din tei” w wersji disco i rockowej. Później na scenie rządzą Zdob și Zdub (w wolnym tłumaczeniu: bim bam). Dzięki nim mamy okazję doświadczyć, czym jest prawdziwy taniec mołdawski.

ŚNIADANIE U MIOTLARZA

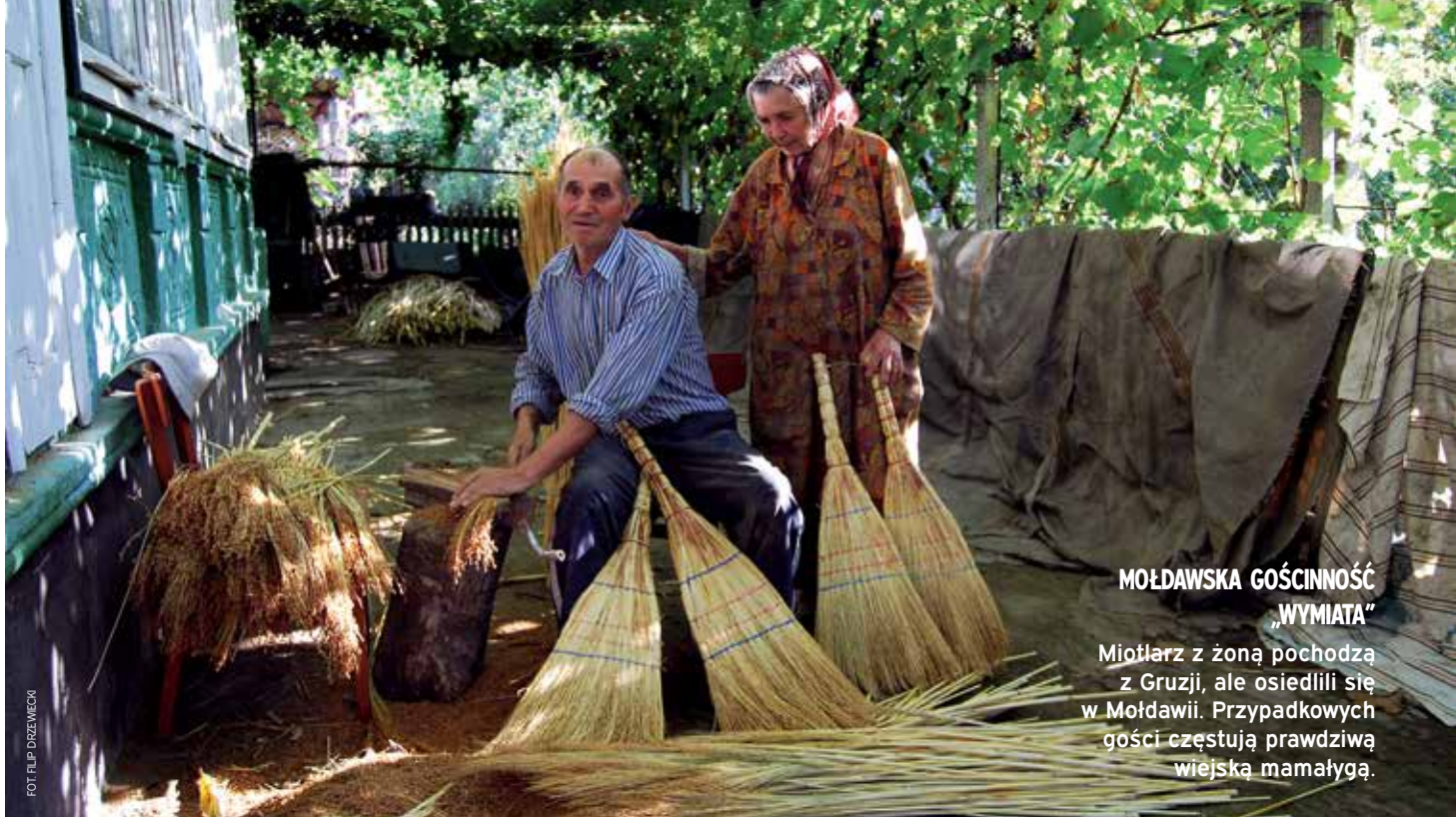
Dwa dni później ruszamy do Orcheja Starego. Niedaleko tej wioski mieści się skalny monastyr Peștera z wykutymi w skale celami dla mnichów. Po dziś dzień mieszka tam jeden z nich. Wieczorem niedaleko wsi, pośród skał tworzących naturalny amfiteatr, odbywa się festiwal muzyki etnicznej Gustar. Rano idę na spacer po wsi. Pukam do jednego z domków, w którym starszy pan wyrabia miotły z siana. Pytam, czy mogę mu zrobić zdjęcie, a on pokazuje mi swoje gospodarstwo, częstuje świeżymi winogronami i zaprasza na śniadanie: białe wino, mamałygę i mleko z kozuchem. Na odchodne dostaję mleko w butelce, a symboliczną opłatę wręczam jego żonie, którą ta decyduje się przekazać na cerkiew. Mężczyzna na wyrobie miotel zarabia miesięcznie ok. 500 lei, co jest równowartością 125 zł.

NARODOWA FETA

Dzień Niepodległości obchodzi się w Kiszyniowie bardzo hucznie, z koncertami gwiazd i tańcami wszystkich zgromadzonych.



FOT. FILIP DRZEŹNICKI



FOT. FILIP DRZEWIEC

MOŁDAWSKA GOŚCINNOŚĆ „WYMIATA”

Miotłarz z żoną pochodzą z Gruzji, ale osiedlili się w Mołdawii. Przypadkowych gości częstują prawdziwą wiejską mamałygą.

BEZ WINA ANI RUSZ

Soroki to miasto Cyganów. Rozklekotanym autobusem, pełnym Cyganek z dziećmi, dojeżdżamy po czterech godzinach do sennej miejscowości. Przy naddniestrzańskiej promenadzie znajduje się zamek wybudowany w 1489 r. przez księcia mołdawskiego Stefana III Wielkiego. Jak głosi legenda, w 1699 roku jego obrońcy przetrwali sześciotygodniowe oblężenie wojsk tureckich dzięki jastrzębiom, które zrzucały do fortecy winogrona, aby rycerze mieli się czym pożywić. Jak mówią słowa piosenki Zdob și Zdub: „Mołdawianie nie latają na Marsa bez wina”.

Wysiadamy na rozdrożu i ruszamy szukać szczęścia wśród pól i sadów. Miejscowi zbierają jabłka. Przemili ludzie, dają się fotografować i częstują owocami.

– Skąd przybywacie?

– Z Kiszyniowa.

– Z Kiszyniowa? A to już nie Rumunia? – starszy pan przekomarza się z Alexem. To kolejny dowód na brak jednolitości tej krainy. Jesteśmy przy granicy z Ukrainą, dla starszych pokoleń to już prawie Rosja, zaś Kiszyniów kojarzy się z Zachodem, czyli Rumunią – Unią Europejską.

DZIEŃ W AUTONOMII

„Naddniestrze – kraj dobra i nadziei”, głosi billboard na stacji autobusowej. Wszędzie wiszą czerwone flagi z żółtym sierpem i młotem. W Tyraspolu

stoją pomniki Lenina, a granic tej budzącej wątpliwości autonomii strzegą czołgi.

Naddniestrze wygrało wojnę z Mołdawią w 1990 roku. Stało się tak dzięki wielkiej pomocy ze strony Rosji. W 2010 roku autonomia obchodziła 20-lecie istnienia. Jedynymi oficjalnymi przedstawicielstwami innych krajów na tym terenie są biura Abchazji i Osetii Południowej. Prezydent prowadzi ożywione interesy z Miedwiediewem, czego dowodem jest plakat w centrum stolicy, na którym gratulują sobie nawzajem. Na bibliotece narodowej wisi wielki czerwony napis: „Nasza siła w jedności z Rosją”.

JUŻ BEZ PANCERNYCH...

W Tyraspolu czołg dumnie stoi na placu żołnierzy poległych w wojnie o niepodległość Naddniestrza, oficjalnie uznawanej za wojnę domową Mołdawii.



FOT. FILIP DRZEWIEC



POMOCNA DŁOŃ
Na billboardach
Tyraspolu prezydent
Naddniestrza Igor
Smirnow z prezydentem
Rosji Dmitrijem
Miedwiediewem
gratuluja sobie
efektów współpracy.

rzucają ich płatkami róż. Pan młody bierze żonę na ręce, obraca się dookoła kilka razy, po czym oboje pozują do zdjęć. Następnie puszczają w niebo dwa białe gołąbki, które krążą nad dachami i wracają do właściciela. Ten zamyka je w klatce, aby za chwilę sprzedać usługę kolejnej parze. I tak jedni za drugimi, cały dzień.

Autonomia Naddniestrzańska leży w oficjalnie uznanych przez świat granicach Republiki Mołdawii. Mimo to jest cały czas mocno wspierana finansowo przez Rosję, której wojska tam stacjonują. Mołdawia nie może wejść do Unii Europejskiej z konfliktem zbrojnym na swoim terenie. Z tej patowej sytuacji są dla niej dwa wyjścia: albo odbić swe ziemie, albo z nich zrezygnować.

WINO Z DOBREJ PÓŁKI

Pod rozległymi plantacjami winogron kryje się tajemnicze miasto. Wiele legend słyszałem o Cricovie, a teraz mam okazję przekonać się na własnej skórze, czym to pachnie. A pachnie wilgocią i wapnem. Wjeżdżamy w podziemia meleksem. Kręta droga prowadzi wśród rzędów tysięcy beczek. To tu, to tam widzę ludzi krzątających się przy dziwnych sprzętach, ładujących i przewożących beczki. Każda aleja ma swą nazwę od składowanego na niej wina: Pinot, Feteasca, Cabernet. Winiarnia Cricova jest idealnym przykładem współpracy dwóch pozornie rozbieżnych dziedzin gospodarki. W bezużytecznych już tunelach kopalni kamienia wapiennego założono podziemną winiarnię, która rozrasta się wraz z rozwojem prac górniczych.

Sheriff to spółka wielofunkcyjna. Posiada stadion piłkarski jedynej drużyny tego kraju, sieć sklepów i stacji benzynowych, a wszystko w rękach prezydenta.

Chodząc po stołecznych ulicach Tyraspolu, oglądamy musztrę nastolatków ćwiczących wojskowy krok. Zagłębiamy się dalej i trafiamy na pałac ślubów. A raczej matrymonialną fabrykę. Z okazji weekendu co dwadzieścia minut wychodzi z niego nowa para młoda. Goście na schodach ob-

FABRYKA ŚLUBÓW

Choć ceremonia zaślubin powtarza się tu co 20 minut, dla każdej kolejnej pary nowożeńców jest to moment niepowtarzalny.





Z BOKU NA BOK

W niskiej temperaturze kopalnianych korytarzy wino musujące dojrzewa przez trzy lata, raz po raz obracane przez swoich opiekunów.

Po 20 km pierwszy przystanek. Znajdujemy się 60 metrów pod ziemią. Tu przechowują wino musujące. Każda butelka co 12 godzin musi zostać przekręcona o 180 stopni. Na spodzie każdej kładki narysowano kreskę, aby było wiadomo, o ile ją przekręcić. Żmudna to praca, a butelek jest ponad 100 tysięcy. Są zakapslowane jak piwo. Leżą szybkami w dół, a po dłuższym leżakowaniu zbiera się zawiesina, którą później zmraża się i usuwa. Dopiero potem butelki są korkowane. Na końcu taśmy przy wielkiej żarówce siedzi kobieta i prześwietla każdą butelkę po kolei. Tak sprawdzana jest czystość szampana. Obok stoi wielka klatka na szampan nieczysty.

– *A co robicie z wybrakowanym szampanem?*

– *No cóż, że na sprzedaż nie pójdzie, a skażony nie jest, to przecież nie wyrzucimy go na śmietnik...*

Drugim przystankiem jest przechowalnia i magazyn – piękne korytarze z półkami, na których leżą wszelkie rodzaje produkowanego tu wina, oczywiście na sprzedaż. Jest również wystawa starych butelek z winem z przeróżnych krajów: Uzbekistanu, Francji, Rumunii. Najstarsza z nich pochodzi z Jerozolimy, datowana jest na 1902 r. Można tu wydzierżawić własną półkę, klimat do przechowywania trunku jest idealny – zawsze ta sama niska temperatura. Swoją małą składkę ma tu nawet sam Władimir Putin. Ciągące się przez 120 kilometrów, wykute w skale korytarze Cricovy pozwalają przechować 35 milionów litrów wina.

Trzecim przystankiem są oficjalne sale spotkań, z wielometrowymi stołami i pięknymi drewnianymi krzesłami. Przyjeżdżają tu głównie biznesmeni i politycy w ramach międzynarodowych wizyt. Obok jednej z takich sal wisi zdjęcie Jurija Gagarina z autografem. Był on pierwszym oficjalnym gościem Cricovy.

– *Jurij wszędzie był pierwszy. Pierwszy w kosmosie i pierwszy w Cricovii.*



PODZIEMNE SPOTKANIA NA SZCZYCIE

Sala winiarni w Cricovii to miejsce spotkań mołdawskich oficjeli i zagranicznych delegacji. Jurij Gagarin jako pierwszy przebalował tu całą noc. Nieoficjalnie mówi się, że nawet dwie.

WYPIJMY ZA...

Czym byłaby ta kraina winem płynącą, gdyby nie ci ludzie o duszach śpiewających? W ostatnich dniach naszego pobytu odwiedzamy mieszkającą pod Kiszyniowem babcię Alexa. Wraz ze swym wieloletnim przyjacielem Kolą tworzą niesamowity duet. Ona jest zatwardziałą komunistką, z pochodzenia Rosjanką. On liberalnym Rumunem, stawiającym Polskę za wzór rozwoju ekonomicznego. Goszczą nas z całego serca. Stawiają na stół rum własnej roboty. Przegryzamy go boczkami, arbuzem lub ostrą papryką i, patrząc na Dniestr wijący się gdzieś na horyzoncie, przez wiele godzin prowadzimy nasze rozmowy. ○

Jedzenie to nieodzowna, a często również jedna z przyjemniejszych stron podróży. Zdarza się, że z egzotycznych wypraw oprócz pamiątek przywozimy także kulinarne przepisy. I choć pewnie w domu żadna potrawa nie będzie smakować tak samo jak tam, w odległych krajach, to jednak próbujemy te smaki odtworzyć. Nie zraża nas nawet brak oryginalnych składników, które twórczo zastępujemy dostępnymi u nas. W końcu, po-

dobnie jak nie ma jednej receptury na bigos czy żurek, nie istnieje też jeden słuszny przepis na lasagne, soliankę czy zupę tom yum. Gotowi jesteśmy przetestować każdy nadesłany przez Czytelników przepis. Najsmakowitsze opublikujemy na łamach tej rubryki.

Podejmiemy każde kulinarne wyzwanie!

KUCHNIA TAJSKA

Tajowie uwielbiają jeść, co widać gdy się spotykają, bo zaraz po powitaniu pytają „Czy już jadłeś?”. Podstawą tajskiej kuchni jest sztuka łączenia pięciu smaków: słodkiego, kwaśnego, słonego, gorzkiego i ostrego. Specjalne miejsce w tajskiej kuchni zajmują zupy – pyszne i oryginalne w smaku, robione często na bazie mleka kokosowego, pełne przypraw, korzeni, aromatycznych ziół i liści. W Tajlandii zupa pojawia się na stole na początku posiłku i zostaje do deseru, wraca się do niej co jakiś czas pomiędzy przekąskami, mięsnymi i ryb-

nymi daniami, aby popić zbyt ostre potrawy (choć zupa sama w sobie może być również bardzo ostra). Zupa z kurczaka na bazie mleka kokosowego łagodzi utrzymujące się na podniebieniu palące smaki. W każdym domu przyrządza się ją trochę inaczej, między innymi dlatego, że tajskie kucharki nie używają miarek i nie stosują ścisłych reguł.

ZUPA TOM YUM

Do litra wrzącej wody dodać kostkę bulionową i pastę tom yum, mieszać do rozpuszczenia się składników. Wlać sos rybny oraz dodać pokrojonego w paseczki kurczaka, pieczarki i drobno posiekaną papryczkę (bez pestek, jeśli nie ma być bardzo ostro). Gotować pięć minut, a następnie dodać pomidorki koktajlowe, mleko kokosowe, sok z wyciśniętej limonki i trawę cytrynową (jeśli jest w łodygach, należy ją wcześniej rozgnieść, lub potłuc tłuczkiem do mięsa). Po kolejnych pięciu minutach zdjąć z ognia. Podawać posypane posiekaną kolendrą.

à la Poznaj Świat

SKŁADNIKI (dla 5-6 osób):

czas przygotowania: 20 minut.

- 3 łyżki pasty tom yum
- 2-3 łydgi trawy cytrynowej (zamiennie 2 łyżki mielonej)
- rosół lub kostka rosołowa z kurczaka
- 2 łyżki sosu rybnego
- 3 piersi kurczaka
- 15-20 małych pieczarek
- limonka
- duża puszka (400 ml) mleka kokosowego
- 1-2 papryczki chili (w zależności od upodobań)
- 15-20 pomidorków koktajlowych
- kolendra do posypania (może być także bazylia)





*Poznaj Świat
od kuchni*



FOT SHUTTERSTOCK

Paulina Kańska

WTRAMPKACH NA RORAIMĘ

Wybierając się na dłuższy trekking, można uzbroić plecak w przeciwdeszczowy pokrowiec, ale jeśli wpadnie się do rzeki, równie dobrze spisie się zwykły plastikowy wór na śmieci. Lepiej założyć markowe trekkingowe buty, ale jeśli zostały akurat na innym kontynencie, sprawdzą się też znoszone trampki, których przynajmniej nie będzie szkoda wyrzucić.

W Santa Elena spotkaliśmy się z naszym przewodnikiem, dostaliśmy od niego namioty i jedną dobrą radę: „Zostawcie w hostelowym depozycie, ile się da”. Jedno ubranie do wchodzenia, jedno czyste do zrobienia ładnego zdjęcia na szczycie i jedno do spania – to wszystko, co powinniśmy ze sobą mieć na kolejne sześć dni. Dodatkowa, dzieńsiogramowa koszulka, wbrew wszelkim prawom fizyki, z każdym kolejnym krokiem przybiera na wadze. A po drodze nie można niczego wyrzucić. Roraima mieści się na terenie rezerwatu. Nawet zużyty papier toaletowy będziemy nosić ze sobą.

KSIĘGA WYJŚCIA

Wsiadliśmy do SUV-a i już po niecałej godzinie jazdy po piaszczystych wertepach i stukania głowami o dach samochodu ukazała nam się baza wypadowa na Roraimę – Paraitepui. Mała chatka, z dziurą zamiast okna, wyposażona była w dwa stoły, które wyruszającym w drogę służyły do zjedzenia ostatniego przed wyprawą posiłku, a pracownikom parku – jako stanowisko do rewizji bagażu powracających. Jedna trzecia flory i fauny Roraimy to gatunki endemiczne – niewystępujące nigdzie indziej na świecie. Na szczycie znajduje się zaś Dolina Kryształów z pożądanym kruszcem. Nic więc dziwnego, że nie można zabierać z góry żywych ani geologicznych pamiątek, a złapany na takim procederze turysta naraża swojego przewodnika na roczną utratę licencji.

W bazie należy wpisać się na specjalną listę. Po pierwsze dlatego, że istnieje limit osób przebywających jednocześnie na Roraimie. Po drugie – dla własnego bezpieczeństwa. Jeśli zdenerwujesz swoich współtowarzyszy do tego stopnia, że postanowią się z Tobą rozdzielić jest jeszcze szansa – choć sądząc po jakości rozmoczonego zeszytu, do którego się wpisaliśmy, niezbyt wielka – iż ktoś na dole zorientuje się, że nie wróciłeś z wyprawy. Gdy dopełniliśmy już wszelkich formalności zauważyliśmy, że kierowca dawno zrzucił z dachu nasze plecaki oraz wiklinowy „kosz podróży” naszego przewodnika i zniknął za horyzontem. Zaczęło padać.

BRACIE, GDZIE JESTEŚ?

Deszcz przygotował nas psychicznie na przemoczenie butów, czego i tak nie dałoby się uniknąć, przechodząc już pierwszego dnia wędrówki dwie rzeki: Rio Tek – 12 km w prostej linii od Paraitepui i Rio Kukenan – 1,5 kilometra dalej. Tuż za drugą rzeką rozbiliśmy obóz. Pierwszą noc przespałam pod namiotem tylko w swetrze i długich spodniach. Byłam miło zaskoczona rześką, a nie lodowatą, temperaturą strumienia, w którym odbywała się nasza poranna toaleta. Zasmuciło mnie natomiast, że mój plecak ważył już pięć razy tyle co wczoraj, chociaż w międzyczasie pozbyłam się trzech litrów wenezuelskiego rumu z colą, bo jak wiadomo alkohol paruje najszybciej. Niemniej jednak ruszyłam dalej.

Nasz przewodnik na rozgrzewkę opowiedział nam o górze, od której wzięła swoją nazwę rzeka Kukenan i nasze pierwsze obozowisko – Campamento Kukenan, 1050 m n.p.m. To bliźniaczy pla-





PORYWCZA RZeka

Rio Kukenan porywa ze swoim nurtem masywne kamienie i buty nieuwważnych turystów.

skowyż Roraimy, którego nie sposób nie zauważyć podczas wędrówki. Piętrzy się po zachodniej stronie widnokregu, owiany przez ciemne chmury, i kusi przepięknym widokiem spływającego ze szczytu wodospadu, który z tej odległości przypomina tylko cienką białą wstążeczkę. Kto by pomyślał, że ciągnie się przez ponad 600 metrów i tworzy jedną z najwyższych kaskad na świecie? Światowy rekord w tej dziedzinie – wodospad o najdłuższym, prawie kilometrowym spadku wody – Salto Angel, należy zresztą również do Wenezueli.

Do niedawna ekspedycje na Kukenan były równie przystępne, jak na Roraimę, chociaż mniej popularne ze względu na trudniejsze podejścia. W zeszłym roku na górę wybrało się dwóch braci, doświadczonych wspinaczy. Szli gęsiego po ścieżce w odległości kilku metrów. W pewnym momencie ten z przodu obrócił się i nie zobaczył już za sobą swojego brata. Wszczęto poszukiwania. W lasy Kukenan posłano oddziały wojska. Bracia wywodzili się z zamożnej rodziny, która opłacała wszystkich lokalnych przewodników. Przeszukiwali oni teren przez miesiąc. Po zaginionym bracie nie odnaleziono ani śladu. Od tego czasu rząd zakazał wejść na Kukenan. Miejscowi Indianie twierdzą oczywiście, że brata porwały złe siły, które władają górą. Według nich Roraima i Kukenan reprezentują dwie przeciwstawne energie. Duchy dobrych przodków ulatują po śmierci nad Roraimę, aby wśród białych mgieł unoszących się na szczycie dokonać pełnego oczyszczenia. Ci źli wędrują natomiast nad Kukenan. Niby to tylko legenda, ale chmury nad Kukenan są zawsze jakby trochę ciemniejsze...

NA SZCZYT TEPUI

Na szczęście w naszej ekipie nikt nie podzielił losu zaginionego brata i w drugim obozowisku, Campamento Base, obudziliśmy się w komplecie. Z rana, żeby nałożyć preparat antykomarowy w sztyfcie, musiałam nim jeździć po nodze slalomem pomiędzy rozdrapanymi ukąszeniami. Czytałam w przewodniku, że na Roraimie nie ma komarów. I owszem. Są za to okrutne muszki puri puri, których nie powstrzyma żaden środek przeciwko insektom.

OBOZOWISKO CAMPAMENTO KUKENAN

Tu byliśmy!!
I namiot rozbiłyśmy!
I spałyśmy...





Z GŁOWĄ W CHMURACH
Tu, na szlaku ku Roraimie, powiedzenie to nabiera dosłownego znaczenia.

Trasa z jaką przyszło nam się zmierzyć, szybko odwróciła moją uwagę od wszelkich niedogodności. Do tej pory przemierzaliśmy się po zboczu o niewielkim nachyleniu. Oczywiście, ciążyły nam plecaki, przemoczone buty i kamienie, które niczym tajni agenci zawsze znajdą jakąś szczelinę, żeby wkraść się do trampka. Dotąd trasa przypominała raczej spacer po lesie niż zdobywanie prawie trzytysięcznika. Teraz wyrosła przed nami ogromna pionowa ściana. Pokonanie jej bez specjalistycznego sprzętu jest możliwe tylko bocznym uskokiem, po którym w porze obfitych deszczów spływa woda. W niespełna trzy godziny z wysokości 1800 m n.p.m. znaleźliśmy się na płaskim wierzchołku tepui, na 2700 m n.p.m. – mokrzy od potu, ale szczęśliwi.

SZCZYT ATRAKCJI

Dawno temu, kiedy na świecie żyły jeszcze tylko zwierzęta, zbierały się one co dzień przy wspólnym wodopoju. Każde zwierzę przynosiło ze sobą ze-

brane tego dnia owoce i wszystkie zgodnie dzieliły je między sobą. Ale pośród wszystkich stworzeń jedno wyjątkowo się rozpasło, wzbudzając tym podejrzenia. Reszta zwierząt postanowiła je śledzić. Okazało się, że odkryło ono piękne, ogromne drzewo, na którym rosły wszystkie najwspanialsze tropikalne owoce świata. Zwierzątko z zadowoleniem zjadało się nimi do syta, w tajemnicy przed innymi. Ten zły uczynek tak zdenerwował resztę, że w przypływie złości zwierzęta ścięły piękne drzewo, które upadło z hukiem, rozsypując przepyszne owoce po trzech okolicznych krajach: Brazylii, Wenezueli i Gujanie. Pozostałości tej ogromnej rośliny uschły i przemieniły się w kamień. Tak właśnie powstała Roraima, która obserwowana z lotu ptaka może swoim kształtem przypominać dwulistną palmę. Tak przynajmniej twierdził nasz przewodnik, którego rodzice pochodzili z miejscowego plemienia Indian Taurepan.

Nieco inną wersję podają naukowcy. Według nich historia Roraimy sięga ery prekambryjskiej – góra ta jest jedną z najstarszych formacji geo-



logicznych Ziemi. Jeszcze kilkadziesiąt lat temu podejrzewano, że przetrwały tu dinozaury. Tak przynajmniej interpretował opowieści odkryw-
ców Artur Conan Doyle, który pisząc „Zaginiony świat” inspirował się krajobrazem Roraimy. Cho-
ciaż dziś wiemy już z całą pewnością, że dinozau-
rów tam nie ma, to występujący na Roraimie nieco
mniejszy gatunek – czarna żaba (*oreophrynella
nigra*), znana wcześniej tylko z Afryki – jest żyją-
cym dowodem na to, że niegdyś oba kontynenty
były połączone. Roślinność na szczycie przetrwała
głównie przy grotach i w szczelinach erozyjnych,
gdzie mogła uchować się przed silnymi i uporczy-
wymi deszczami. Z ciekawszych okazów występuje
tu m.in. heliamfora zwisła (*heliamphora nutans*)
z liśćmi uformowanymi na kształt kielicha zbier-
ającego deszczówkę i jednocześnie chwytającego
w pułapkę owady.

Po trzech dniach, podczas których ma się
wrażenie, że ogromny bagaż przyrósł do pleców,
zwiedzanie szczytu bez ciężkiego plecaka to praw-
dziwa przyjemność. Gdy nasz ekwipunek spoczy-
wał sobie spokojnie w obozie, my udaliśmy się
z przewodnikiem do części zwanej La Ventana
(okno), skąd w słoneczny dzień rozciąga się podob-
no zapierający dech krajobraz. Mimo że trafiliśmy
na pochmurny dzień i nie mieliśmy przyjemności
go podziwiać, nie narzekaliśmy na brak atrakcji.
Dech w piersi zapařło nam, kiedy w kilka sekund
szczyt ogarnęła gęsta chmura ograniczająca wi-
doczność do 30 centymetrów. Musieliśmy chwilę

przeczekać, bo nawet przewodnik, który był na Ro-
raimie 86. raz, nie wiedział, w którą stronę ruszyć.

Przeszliśmy przez wspomnianą Dolinę Krysz-
tałów, po czym bez użycia paszportów dostaliśmy
się za trzy granice. Na szczycie Roraimy istnieje
tzw. Punto Triple – obelisk, zaznaczający miejsce,
w którym schodzą się granice trzech państw: Bra-
zylia, Wenezuela i Gujana.

Kolejna odwiedzona przez nas atrakcja szczy-
tu, naturalne zbiorniki przy krystalicznie czystych
źródłach, zwane Jacuzzi, zawierają, o ironio, lodo-
watą wodę. Podobnie zimny prysznic zafundowały
nam wodospady znajdujące się wewnątrz El Foso,
ogromnego leja, do którego dostać można się tyl-
ko po krótkiej skalnej wspinaczce wysokogórskiej.



DELEKTUJ SIĘ WĘDRÓWKĄ

Niektórzy podróżnicy
przewidzianą na sześć
dni trasę pokonują
o połowę szybciej.
Tylko po co? Nie
delektować się takimi
wiedkami, to trochę jak
pominąć obiad i zacząć
od razu od zmywania...



FOT. PAULINA KANSKA

PIĘKNO, KTÓRE PRZYPIERA DO ŚCIANY

Roraima widziana od strony wenezuelskiej.

Wyzwaniem dla odważnych jest skok na główkę w lodowatą toń El Foso, bezpieczne jest to jednak tylko przy odpowiednim poziomie wody w grotcie.

DRUŻYNA PIERŚCIENIA

Śpiąc w Campamento Hotel usytuowanym w jednej z grot na szczycie Roraimy, zmarzłam na kość. Miejscowi przewodnicy, ubrani zaledwie w cienkie swetry, pytali, czy na pewno jestem z Polski, bo przytulona do jednego z nich i opatulona kurtką snowboardową, trzęsłam się jak pralka w fazie wirowania. Oni spali w grotcie na kamieniu, bez namiotów ani śpiwora, tak jakby byli zmiennocieplni. Jeśli na Roraimie przetrwały jakieś dinozaury, to zapewne w postaci tych lokalnych przewodników.

Powrót ze szczytu trwał tylko dwa dni i chociaż z każdym krokiem zbliżaliśmy się do chmur puri puri, w miarę schodzenia strumienie obiecywały swoją temperaturą nieco cieplejszą wieczorną ką-

piel. Podróżując w dół trudno nie ulec wrażeniu, że jest się częścią Drużyny Pierścienia. Tylko my, wiatr, słońce i kolejna polana. Jeśli ktoś zapytałby mnie, co warto wziąć ze sobą na Roraimę, bez zastanowienia odpowiedziałabym, że dobre towarzystwo. Idąc jednym wzgórzem obserwowaliśmy ścieżkę, która wiodła nas w dół, a potem do kolejnego wzniesienia. I tak co najmniej przez cztery godziny z krótką przerwą na przekroczenie rzeki lub przeпаści. Dom na plecach, odciski na nogach, ciepła kolacja w odległej perspektywie. A wszystko to przez jeden spontaniczny pomysł koleżanki, która przekonała nas, aby urozmaicić jakoś wolontariat, który odbywaliśmy w Wenezueli.

Indianie Taurepan wierzą, że Roraima kryje w sobie odpowiedzi na wszystkie problemy ludzkości. Nie wiem, czy to prawda. Wiem natomiast z całą pewnością, że jedną z ostatnich plag naszej cywilizacji jest otyłość i na tę przypadłość wypad na Roraimę jest zdecydowanie rewelacyjną kuracją. ○



ROZMOWY MARKA SZPENDOWSKIEGO Z LUDŹMI ZAPRACOWANYMI

Rozmowa z Bogusławem Chrobotą – szefem Redakcji Publicystyki Telewizji Polsat, autorem książki „Mistyka pustyni”.

MAREK SZPENDOWSKI: Jesteś pierwszą osobą, z którą rozmawiam o podróżach, a z którą nigdy nie podróżowałem.

Bogusław Chrobot: Za to przeczytałeś moją książkę, więc masz poczucie, jakbyś uczestniczył w podróży ze mną.

Zwłaszcza że piszesz o miejscach, które też zwiedziłem. Książka jest świetna. Opisujesz pustynie prozą poetycką i widzisz w niej to, czego ja nie zobaczyłem, a nawet gdyby, to tak pięknie bym tego nie opisał.

Jak wiesz, jestem poetą i właściwie każdy rozdział pisałem trochę innym stylem. Cieszę się, że moja wrażliwość pozwoliła mi na zobaczenie piękna tych miejsc.

Ze względu na swoją pracę masz dostęp do wielu informacji i do różnych miejsc. Mogłeś podróżować do innych, może piękniejszych krajów, niekoniecznie takich, które mi kojarzą się głównie z piaskiem i grobami. Zresztą o grobach dużo piszesz.

Mnie urzekła estetyka pustyni, zwłaszcza możliwość metaforycznego przyrównania jej do oceanu, do nieskończoności. Jak się jest na oceanie i na pustyni, ma się wrażenie istnienia dwóch sfer: ziemi i nieba. W przypadku oceanu – morza i nieba. W jednym i drugim przypadku jest to magma. Życie jest gdzieś pod spodem. Jakaś forma życia: biologicznego, ideowego, ideologicznego, mitologicznego itd. Świat podzielony jest na dwoje. Na nieskończoność w jedną i nieskończoność w drugą stronę. Poza tym pustka, niemal doskonała w sensie przedmiotowym. Niebo jest bezchmurne, a ziemia jest jednokolorowa, z subtelnościami. Czujesz się tam jak w białej kuli, gdzie przestrzeń nie ma punktów odniesienia. W tym sensie wymiary uniwersalne jak nieskończoność, metafizyka, nieokreśloność są bardzo wyczuwalne, bardzo dotykalne.

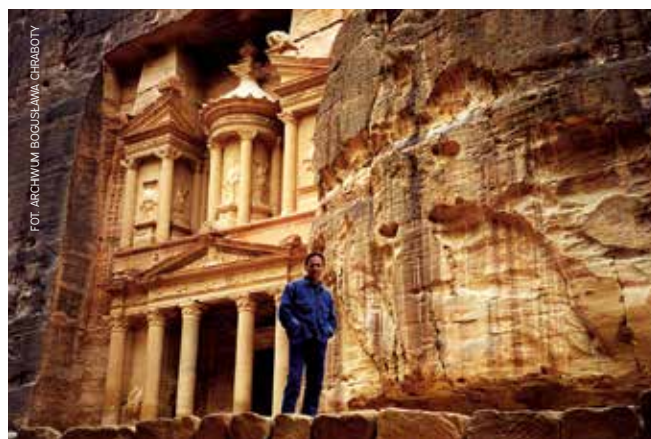
Czy tam uciekasz od cywilizacji?

Na pewno tak. Sądzę, że ludzie takiego typu, do jakiego obaj należymy, szukają pewnych uniwersaliów: to ciągłe pytanie o sens życia, Boga, narodzin, śmierci, trwania, miłości... Oczywiście ma znaczenie to, że ja jestem człowiekiem zanurzonym w milionach bitów informacji. Pustynia to miejsce, gdzie mogę odpocząć od tego lasu rzeczy, które są w mojej pracy zawodowej. Pozwala na odpoczynek, nawet nie fizyczny, ale metafizyczny.

Pustynię przedstawiasz jako miejsce, gdzie widzisz całą paletę barw. Bo to jest paleta barw, i to wyraźna. Tutaj kolory mają jednolitość. To nie jest chaos kolorystyczny, co mnie zawsze poraża. Tutaj przechodzenie koloru w kolor jest delikatne, subtelne. Poza tym ta kolorystyka jest zmienna w czasie. Co godzinę kolory pustyni się zmieniają. Dla mnie jest to żywy obraz.

Kiedy pierwszy raz pojechałeś na pustynię, byłeś przygotowany do właśnie takiego jej postrzegania?

Myślę, że byłem przygotowany intelektualnie, bo całe życie interesowałem się historią starożytną Egiptu. Znajomość malarstwa, percepcja przygotowana przez edukację filozoficzną, estetyczną rozwinęły we mnie aparaturę do odbioru tego świata.



Skromność miejsca nie pozwala mi na szczegółową rozmowę o miejscach, które widziałeś. Zapytam więc o miejsce, które polecił-bys Czytelnikom miesięcznika „Poznaj Świat”.

Polecę cztery miejsca ze stu. W miarę łatwo dostępne, które dadzą posmak niebywałej mistyki, która jest tam skryzalizowana. W Maroku Ait Benhaddou, to stara berberyjska twierdza, gdzie zrealizowano wiele znanych filmów. Drugie to pustynia Ubari w Libii, najpiękniejsza pustynia jaką Pan Bóg podarował ludziom. Następnie Pustynia Zachodnia w Egipcie z oazami Siwa, Bahariya, Doliną Wielorybów. I wreszcie Pustynia Wadi Rum w Jordanii.

Zaskoczenia?

Zawsze jest tam problem z energią elektryczną. Bateria się szybko kończy, zdobyłem więc ogniwo słoneczne do ładowania aparatów fotograficznych, ale akurat na Saharze nie zadziałało, mimo że działało w Warszawie. Oczywiście, w krajach arabskich jest problem z alkoholem. Tak nas wystraszone przed wyjazdem z Tunezji do Libii, że zdeponowaliśmy cały alkohol u jakiejś kobiety. Po powrocie depozyt odzyskaliśmy. Dodam, że nie przywieźliśmy go do Polski. No i wreszcie wspaniałe przeżycie – grałem z Tuaregami na gitarze. Oni grali swoją muzykę, a ja im Woźniaka i Kaczmarzkiego. ○

Marek Szpendowski – producent filmowy, ale przede wszystkim właściciel agencji Viva Art, który organizował m.in. koncerty Luciano Pavarottiego, Michaela Jacksona czy zespołu The Rolling Stones. Dużo podróżuje i często zdarza mu się poznawać świat właśnie podczas delegacji, pospiesznie.



Długo myślałem, że Olgierd Budrewicz nie istnieje – zwierzył się w pierwszym odruchu na wiadomość o śmierci jednego z największych polskich globtroterów znany felietonista, słynący z paradoksalnych skojarzeń, któremu wyjazd do Jugosławii wydawał się w dzieciństwie równie trudny do zrealizowania jak podróż na Księżyc.

ZAWÓD REPORTER

„Przekrój” z reportaжами Budrewicza był jego pierwszym oknem na świat. Michał Ogórek urodził się o ćwierć wieku później niż ja, obaj jednak zaczytywaliśmy się tymi samymi reportaжами Budrewicza z dalekich krajów. Barwnymi, dowcipnymi, dociekliwymi, wolnymi od politycznego dydaktyzmu. Doskonale pamiętam tytuły jego pierwszych książek podróżniczych:

„Sygnały z trzech kontynentów”, „Europa egzotyczna” i „Trzyście wiz”, którym patronowało wydawnictwo „Iskry” w znakomitej serii „Naokoło świata”. Budrewicz jawił mi się wówczas jako człowiek z dziennikarskiego Olimpu. Nie tylko jako autorytet podróżniczy, ale również niebywały szczęściarz. Czy marzyłem wówczas o poznaniu Budrewicza i pójsciu w jego ślady? To wydawało mi się zgoła nieprawdopodobne.

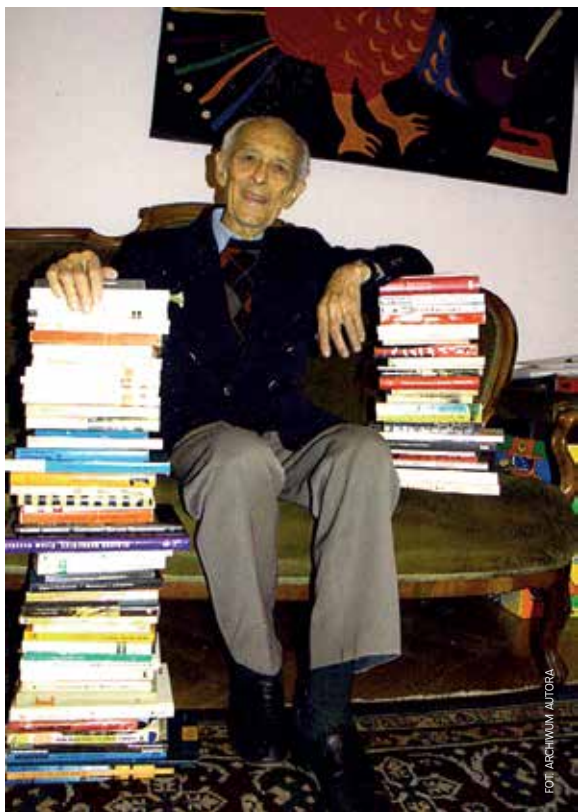
Jak się poznaliśmy

Budrewicz przetał drogę w świat kilku pokoleń polskich dziennikarzy. Mnie dzieliło od niego tylko siedem lat, ale w młodym wieku to cała epoka. Łączyło nas to, że obaj urodziliśmy się w Polsce międzywojennej, ale kiedy on w czasie okupacji studiował na tajnym Uniwersytecie Warszawskim, ja biegałem w krótkich majtkach i grałem w klipę. Kiedy on brał udział w Powstaniu Warszawskim, mnie hitlerowcy zapędzili jako dziecko do pracy niewolniczej w Kraju Warty. Kiedy nadrabiałem stracone w latach wojny lata szkolne i sposobie się do matury, przed nim otwierał się świat. Ale historia wtedy gwałtownie przyspieszyła swój bieg dla nas obydwu.

Poznaliśmy się w 1962 r. na kursie filmowym zorganizowanym przez Agencję „Tele-AR” dla dziennikarzy, których macierzyste redakcje wysyłały w świat po reportaże prasowe. Skróconych lekcji posługiwania się kamerami udzielali nam wybitni dokumentaliści (Władysław Forbert, Roman Wionczek i inni). Mieliśmy odtąd nie tylko opisywać świat piórem, ale pokazywać go okiem obiektywu, potwierdzającym prawdę przedstawianych zdarzeń. Znalazłem się wraz z Olgierdem Budrewiczem wśród pierwszych reporterów filmowców.

W tej nowej dla polskiego dziennikarstwa dziedzinie debiutowaliśmy równocześnie. W 1963 r. ja nakręciłem swój pierwszy podróżniczy reportaż „Nad Zatoką Meksykańską”, a Olgierd przywiózł z Afryki film zatytułowany „Nad Ubangi”. Była to opowieść o jego podróży do Pigmejów, zamieszkujących okolice równika w dżungli Konga Brazzaville, w czasie której zawarł przyjaźń z największym łowcą krokodyli, myśliwym Stanisławem Hemplem. Wkrótce Budrewicz nakręcił film „Sto twarzy Brazylii”, także zawierający ciekawe polskie wątki. Na plantacji w puszczy, 215 km od São Paulo, dzieci indiańskie powitały go pieśnią „Sto lat”, śpiewaną po polsku. Jej słów i melodii nauczył ich polski osadnik, który miał zgoła sarmacką fantazję. W Rio de Janeiro Olgierd poznał inną naszą rodaczkę, Wandę Kozłowską, nazywaną „aniołem slumsów”. W dzielnicy największej nędzy zainicjowała budowę szpitala dla najuboższych. Była jedną z pięciu pierwszych honorowych obywateli największego miasta Brazylii.

Po powrotach z podróży pierwsi podróżnicy z kamerą opowiadali o sytuacjach, których nie zdołało uchwycić oko



obiektywu i o niezwykłych przygodach przeżytych w czasie zdjęć. Przekazywali sobie mnóstwo ciekawostek, inspirując się wzajemnie do barwnych wspomnień spoza kadru. Te spotkania nasunęły mi myśl przeniesienia ich na ekran telewizyjny, do „Kawiarenki pod globusem”, w której polscy obywateli spotykali się później przez niemal 20 lat w oglądanym przez miliony widzów „Klubie sześciu kontynentów”. Olgierd należał do jego najaktywniejszych uczestników.

żeglarzy, jak Leonid Teliga i Krzysztof Baranowski, wielu gości z zagranicy – przeważnie były to nader kolorowe postaci.

Parę takich osób sam przyprowadziłem do „Klubu”. Pewnego dnia pojawił się na planie brat Zeno, franciszkanin Zenon Żebrowski z Japonii. Jego udział w programie spotkał się z dużym odzewem. W końcu niewielu ludzi mogło opowiedzieć w polskiej telewizji o osobistych przeżyciach w dniu zrzucenia bomby atomowej na Nagasaki. A jeszcze mniej interesowało się wtedy lo-

brygady gen. Stanisława Sosabowskiego, pierwszego Polaka, który poszukiwał źródeł Amazonki w Andach, podążając w górę jej lewego dopływu, rzeki Marañon. Poprawił mapy, uściślając miejsce jej narodzin. Okazało się, że dłuższy jest prawy łańcuch zapoczątkowujących Amazonkę rzek. Dowiódł tego dwadzieścia lat później Piotr Chmieliński, z którym ja z kolei zapoznałem Budrewicza. Odtąd stał się naszym wspólnym przyjacielem, Olgierd dzięki niemu mógł zobaczyć słynny kanion Colca.



Niech opowie o tym Budrewicz

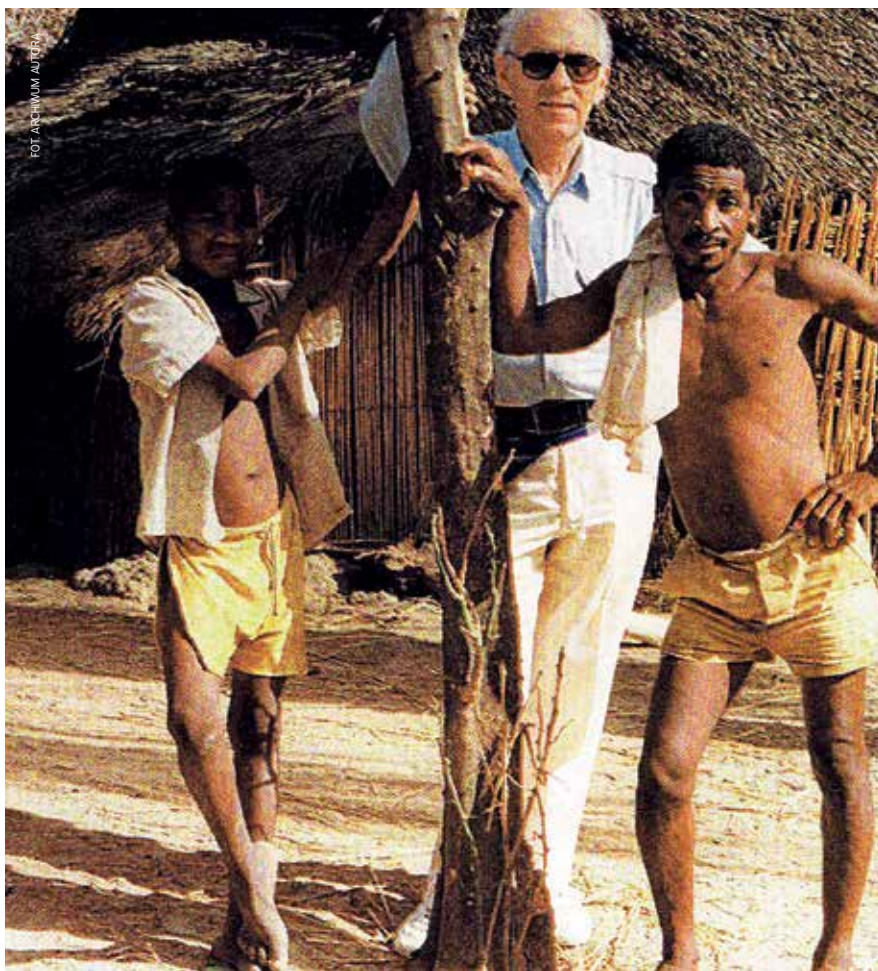
W książce „Byłem wszędzie” Olgierd poświęca telewizyjnemu rozdziałowi w swoim życiu reporterskim obszerny fragment wspomnień o tym okresie naszej znajomości, która później przerodziła się w bliską przyjaźń. Oto jego słowa:

„Klub” ruszył w lipcu 1968 roku i przetrwał na antenie przez prawie dwadzieścia lat (...). Przewinęli się przez niego najznakomitsi polscy podróżnicy i odkrywcy. Archeolodzy, polarnicy, himalaiści, żeglarze. Byli Andrzej Zawada, Jerzy Kukuczka, Wanda Rutkiewicz. Telewidzowie mogli poznać i wysłuchać opowieści wybitnych profesorów, jak Kazimierz Michałowski, Wiktor Zin, Stanisław Rakusa-Suszczewski, słynnych

sem innych. Brat Zeno powtórzył przed kamerami to, co mi mówił w Japonii: czy po wybuchu krowy nie przestaną dawać mleka? Mleko zaś potrzebne było zakonnikowi dla wyżywienia japońskich dzieci. W innym spotkaniu udało nam się wywołać ducha Ignacego Domeyki, przypomnieć niektórym wspaniałych, zamieszkałych w Kanadzie, pilotów z lat bitwy o Anglię.

Stanowczo za skromnie o tym pisze. Do „Kawiarenki pod globusem” sprowadził bowiem człowieka, którego później wyniesiono na ołtarze. Ducha Domeyki pomogła mu przywołać wnuczka najsłynniejszego polskiego podróżnika po Ameryce Południowej. Przedtem odwiedził i sfilmował dom rodziny Domeyków w Santiago de Chile. Dzięki niemu poznałem Edmunda Bielawskiego, byłego spadochroniarza

Ja też skierowałem go do kilku sławnych Polaków w Kanadzie, którym poświęciłem książkę „Rodacy spod klonowego liścia”. Jej tytuł zapożyczył z mojego wcześniejszego filmu. Jeden z lotników, o których wspomina, żyje do dziś. Jest to Piotr Kuryłowicz, mający ponad 90 lat, który przy każdym swoim przyjeździe do kraju odwiedzał zarówno mnie, jak i Olgierda. Jego bratu Witoldowi Kuryłowiczowi, partyzantowi z Wileńszczyzny, świetnemu malarzowi kobiet i koni, Olgierd zorganizował wystawę w Pałacyku Myślewickim w Warszawie. Piotr Kuryłowicz był honorowym gościem jubileuszowego koncertu Zespołu „Mazowsze” oraz redakcji „Poznaj Świat” w Sali Kongresowej Pałacu Kultury i Nauki w Warszawie z okazji wspólnego 50-lecia przybliżania Polski światu i świa-



ta Polsce. Wcześniej drukowałem o nim w „Poznaj Świat” reportaż „Kanadyjczyk z syberyjskim rodowodem” (nr 9/1997). Obaj odwiedzaliśmy jego gościnny dom w prowincji Ontario. Jego córce, utalentowanej kanadyjskiej dziennikarce i fotograficzce, którą z Olgierdem znaliśmy od dziecka, kiedy to zadeklarowała, że pójdzie w nasze ślady, poświęciłem artykuł „Kasia w Górach Skalistych” (nr 1/97).

Miał przyjaciół w każdym zakątku globu

Oprócz podróży, kamery filmowej i telewizji łączył nas szeroki krąg przyjaciół na całym świecie. Oto jedno ze zwierzeń Olgierda, które swego czasu cytował „Poznaj Świat”: Napisałem około stu obszernych biografii Polaków na obczyźnie. Mniej więcej 20 proc. moich bohaterów jest ze mną w stałym kontakcie, a 10 proc. zaliczam do grona swoich przyjaciół.

Słowem tym Olgierd Budrewicz nie szafował. Książkę o wybitnych Polakach w Ameryce, zatytułowaną „Orzeł na gwiazdzystym sztandarze”, подарował mi

w 1979 r. z dedykacją „Rysiowi z przyjaźnią” podczas jednego ze spotkań w „Klubie sześciu kontynentów”, na które przybył w towarzystwie prezesa Fundacji Kościuszkowskiej w Nowym Jorku, profesora historii na Uniwersytecie St. John’s w Nowym Jorku Eugeniusza Kusielewicza. Innym razem zapoznał mnie z polonijnym milionerem Edwardem Piszkiem.

W Stanach Zjednoczonych udzielali mu wywiadów kardynał Jan Król, światowej sławy matematyk i współtwórca bomby wodorowej Stanisław Ulam, jeden z pionierów kardiologii tętnic Dr Zygmunt Wesołowski, słynny rzeźbiarz Korczak Ziółkowski, który w górach Południowej Dakoty wyrzeźbił monumentalne popiersia czterech prezydentów Stanów Zjednoczonych, a potem rozpoczął wykuwanie w dzikiej ciężkiej skale, w masywie Black Hills w pobliżu miasteczka Custer, postaci słynnego wodza Indian Szalonego Konia. W ten sposób, co oczywiście dostrzegł Budrewicz, zrealizował sny Praksytelesa i Michała Anioła, którym tylko marzyło się „wyrzeźbienie góry”.

Darzył zawsze sympatią „Poznaj Świat”

Po latach współpracy z „Przekrojem” Olgierd przez około 15 lat był dziennikarzem tygodnika „Perspektywy”, na łamach którego pisał znakomite reportaże z Afryki, Ameryki Południowej, Azji, Australii, Oceanii, z Syberii. Za moją namową udał się jako jeden z pierwszych polskich dziennikarzy do Tuwy, a potem, jako turysta, dotarł na Antarktydę. Wytykałem mu bowiem żartem, że chociaż „był wszędzie”, ma ciągle niezapisaną kartę w swym niezwykle podrobnym życiorysie. W 1995 r. na jednej z kolejnych swoich książek napisał dla mnie słowa: „Już prawie z szóstego kontynentu”.

W rok wcześniej jego nazwisko pojawiło się w stopce redakcyjnej „Poznaj Świat”. Przez pięć lat był przewodniczącym Rady Turystycznej pisma, w którym drukował swoje reportaże z mórz południowych, Sikkimu, Bhutanu, Sułtanatu Brunei, Ziemi Świętej. To on polecił mnie na członka Rady Programowej wspólnej odtąd dla nas redakcji. W „Klubie sześciu kontynentów” współpracowaliśmy przez prawie dwadzieścia lat. W miesięczniku „Poznaj Świat” nasze relacje z podróży sąsiadowały ze sobą przez lat blisko piętnaście. Często wzajemnie je konsultowaliśmy i dopełnialiśmy, jak było to w numerze poświęconym wyprawom studyjnym miesięcznika „Poznaj Świat” do Polinezji Francuskiej oraz do Estonii. Olgierd nie lubił w zasadzie podróżowania z innymi osobami. Znowu zacytuję tutaj jego słowa: W pracy pomaga mi samotność. Nie lubię kompanii, wolę być niezależny od grupy, nie podlegać towarzyskim kompromisom. Nie przenoszę jednak tych upodobań na resztę życia.

Kiedy w redakcji miesięcznika „Poznaj Świat” Olgierd odbierał prestiżową nagrodę Globus ’96, przyznaną mu przez Kongres Polskich Biur Podróży, jego słowa, iż traktuje to jako wysoki zaszczyt, których z obecnych na tej uroczystości gości skwitował repliką: „w przypadku Budrewicza nie zawsze wiadomo, dla kogo zaszczyt jest większy – dla nagradzanego czy nagradzających”.

Pod koniec życia Olgierd drukował w miesięczniku „Poznaj Świat” felietony pod nieco krepującym jego pióro tytułem „Okiem eksperta”. Komentował w nich aktualne wydarzenia w krajach, które miał możliwość poznać w czasie swych reporterskich wędrówek. Przypomnę jedynie tytuły niektórych z nich: „Czad – dalszy ciąg cierpień”, „Czukunftka znowu bez cara”, „Czy Zimbabwe budzi się ze złego snu?”, „Zimowe piekło Antarktydy”. Pisał je do

końca 2008 roku. Wtedy udał się w dawno planowaną podróż w nieodkryte jeszcze przez współczesnych podróżników, zapomniane przez Boga i ludzi zakątki Hiszpanii. Chciał o nich napisać książkę. Nie zdążył jej dokończyć.

Równolegle patronował zainicjowanej przez Wydawnictwo Naukowe PWN inicjatywie przypomnienia dawnych polskich reportaży podróżniczych w ambitnej serii „Global”. Ukazały się jednak tylko trzy książki z tej serii. Pierwszą z nich był jego „Równoleżnik zero”, w którym wspominał swoje pierwsze przygody na Czarnym Kontynencie. Były to jego relacje z wypraw do Konga Brazzaville, Konga Leopoldville, Burundi i Rwandy szlakiem Josepha Conrada. Kraje te poznawał i opisywał w okresie przełomowych zmian w środku Afryki, kiedy nie było jeszcze internetu ani telefonów komórkowych. Wspaniała lektura, której nie nadgryzł zęb czasu. Wzorzec reportaży literackich. Następne dwie książki z tej serii ukazały się z rekomendacją na okładce: „Olgierd Budrewicz poleca”. Każdą z nich otwierał jego wstęp. „Poznaj Świat” odnotował to wydarzenie.

Swego czasu obaj z Olgierdem prowadziliśmy w Stowarzyszeniu Dziennikarzy Polskich dyskusję o historii polskiego re-

portażu ze świata. Wtedy na pytanie z sali, kim się właściwie czuje jako osoba, która za życia trafiła do encyklopedii, odparł iż chyba jednak reporterem, a dopiero później literatem. Encyklopedia przedstawiała go bowiem w takiej kolejności: dziennikarz, reportażysta, prozaik. Na jego 80-lecie jedno z pism turystycznych poprosiło mnie, abym napisał o nim tekst ściśle określony ilością wierszy. Odpowiedziałem wówczas: „Jak opisać żywego klasyka polskiego reportażu podróżniczego na 3 strokach? Olgierd to przypadek niebywały”.

Przed takim samym dylematem stanąłem pisząc obecnie swoje bardzo osobiste wspomnienie o nim. Kiedy wręczał mi swoją książkę „Byłem wszędzie”, zastanowił się bowiem na głos: „Tak dawno się znamy, że nie wiem, co mam ci jeszcze powiedzieć”. Podpowiedziałem niewinnie: „że mnie kochasz”. I on napisał: „Właśnie powiedziałeś, że Cię Kocham i masz rację”. Mam zatem wobec niego szczególny dług. Tylko Olgierd mógł się zdobyć na tak błyskotliwą ripostę.

Jeden z naszych wspólnych przyjaciół odwiedził go w szpitalu w przededniu śmierci, kiedy Olgierd zdawał sobie sprawę, że niebawem wyruszy w ostatnią podróż, z której nie ma już drogi powrotnej. Na

pytanie, na co ma w tej chwili ochotę, odpowiedział: „Na szklaneczkę whisky Johnny Walker”. Nie wiem, jak go powitano w zaświatach, jestem jednak pewien, że czekał tam na niego błogosławiony brat Zeno. Który z polskich reporterów może pochwalić się takimi koneksjami po tamtej stronie życia?

10 lutego 2012 r. Olgierd skończyłby 89 lat. Ci, co go znali i przyjaźnili się z nim, wypiją tego dnia po wspomnieniowej szklaneczce jego ulubionego trunku. Kiedyś Budrewicz zwierzył mi się, że towarzyszył niewielkiej grupie bardzo dobrze sytuowanych polskich turystów w podróży na sam kraniec świata, do miejscowości Poland na Wyspie Bożego Narodzenia, należącej do Republiki Kiribati, którą tworzy rozległy archipelag w Oceanii, po obu stronach ziemskiej linii zmiany daty. Tam właśnie wypadła mu jedna z jego rocznic, a że w miejscowym sklepiku 12-letniego „Jasia Wędrowniczka” z etykietą „Black Label” zabrakło, jeden z jego towarzyszy podróży zadeklarował, że poleci po godną tej okazji butelkę choćby do samej stolicy. Długo go nie było. Pokonał 1200 km specjalnie wynajętym samolotem. Iloma takimi jeszcze opowieściami Olgierd nie zdążył się z nikim podzielić? ○



Skitouring

Od kilku sezonów można zauważyć wyraźnie rosnące zainteresowanie odmianą turystyki narciarskiej nazywaną skitouringiem. To wykorzystywanie nart do wędrówek po górskich szczytach, szlakach turystycznych, nartostradach. Ski touring daje wiele możliwości eksplorowania niedostępnych dla „zwykłych” narciarzy terenów, ale przez to jest bardziej niebezpieczny. Pamiętajmy zatem o odpowiednim ekwipunku.



SCARPA ALIEN

Niewiarygodnie niska waga w połączeniu z innowacyjną cholewką czyni te buty jednymi z najlżejszych w swojej klasie. Dzięki systemowi sznurowania BOA®, but idealnie przylega do stopy, zapina się bardzo szybko i można go precyzyjnie regulować. Podeszwa Vibram® UFO została zaprojektowana tak, aby zapewniać idealną przyczepność w każdych warunkach. W komplecie z butami producent dostarcza lekkie ochraniacze przeciwśnieżne.

Cena: ok. 2400 zł
www.himalsport.com.pl

Cena: 1550 zł
www.skitour.pl

SKI TRAB TOUR RANDO XL

Narta skitourowa, odpowiednia praktycznie na każdy rodzaj śniegu i każde warunki terenowe. Drewniany rdzeń z komorami powietrznymi, laminowany w konstrukcji monocoque – Power Cap, wzmocnienia z włókna szklanego, ślizg Sintered (o dużej gęstości). Taliowanie: 113/110/80/99. Promień skrętu: 19,7m (przy dł. 164 cm). Waga: 1270 g. (przy dł. 164 cm). Dostępne długości: 150, 157, 164, 171, 178 cm



Cena: 249 zł
www.viking.pl

VIKING MAGNUS

Rękawice Viking Magnus, dzięki dodatkowej rękawicy wewnętrznej, oferują dwa poziomy termiczne. Zastosowana membrana w połączeniu ze skórą naturalną dają efektywny system wentylacji, gwarantując komfort termiczny i naturalny mikroklimat. Wszystko zamyka nietuzinkowy design o mocno sportowym zacięciu. Odporna na uszkodzenia mechaniczne, a przy tym bardzo miękka i komfortowa. Świetnie sprawdza się w ekstremalnych warunkach.

PETZL TIKKA PLUS²

Nowa wersja wielofunkcyjnej mini czołówki. Sprawdzony design i poprawione parametry świecenia. Zwiększona moc światła: z 50 do 70 lumenów, większy zasięg: z 35 do 40 metrów oraz dłuższy czas świecenia: ze 140 do 185 godz. Zachowana dotychczasowa funkcjonalność: biała, mocna dioda z 3 trybami świecenia oraz dioda czerwona 3 mm, świecąca w trybie ciągłym lub pulsującym.

Cena: 155 zł
www.petzl.pl

SALEWA MEIJE 2 WINDSTOPPER

Idealne spodnie do skitouringu oraz wspinania. Wykonane z Windstopper Durastretch oraz wodoodpornego, oddychającego Powertex. Techniczny, profilowany krój. Dolne części nogawek są regulowane dla lepszego dopasowania. Dwie boczne kieszenie zapinane na zamek. Spodnie zostały wyposażone w regulowane szelki, które mogą być odpięte.

Cena: 900 zł
www.salewa.pl



THE NORTH FACE ENZO JACKET

Nowa męska kurtka sprawdza się zarówno na trasie, jak i z dala od wytyczonych szlaków. Membrana Gore-Tex® zapewni ochronę nawet w najgorszych warunkach. Sportowy krój jest idealny do pokonywania długich podejść, jak i ciasnych skrętów w głębokim puchu. Suwaki pod pachami umożliwiają wentylację nawet pod plecakiem, a odpinany pas śniegowy, cięte laserowo wodoszczelne zamki i regulowane mankiety typu „hook-and-loop” zatrzymują śnieg na zewnątrz. Ponadto intuicyjnie rozmieszczone kieszenie, takie jak wewnętrzne kieszenie na elektronikę i gogle, zewnętrzne kieszenie zapinane suwakami na dłonie oraz dodatkowa kieszonka na akcesoria na nadgarstku pozwalają zabrać ze sobą wszelkie niezbędne w górach drobiazgi. Zamocowany na stałe, regulowany kaptur dostosowany został do kasku, a wbudowany system Recco® ułatwia poszukiwanie zasypanych przez lawiny.



Cena: 1599 zł
www.thenorthface.com

ALPINUS MT. KATMAI



Cena: 439 zł
www.alpinus.pl

Wygodna, lekka i wyjątkowo praktyczna całoroczna kurtka softshellowa. Specjalna konstrukcja rękawa i podkroju pachy sprawia, że ruch ręki w górę nie powoduje wznoszenia się kurtki. Równie istotny jest doskonały system wentylacji, zapewniający odprowadzanie wilgoci na zewnątrz, dzięki czemu nawet podczas wzmożonego wysiłku skóra pozostaje sucha a organizm się nie wychładza. Mt. Katmai jest idealnym rozwiązaniem dla aktywnych ludzi lubiących ruch w prawie wszystkich warunkach pogodowych. Jest odporna na otarcia, a jej elastyczność i miękkość zapewnia pełną swobodę.

DAKINE PRO 2



Cena: 559 zł
www.dakine.pl

Plecak do sportów zimowych. Możliwość przymocowania nart w pozycji ukośnej lub snowboardu w pozycji pionowej. Usztywniane plecy. Możliwość przymocowania kasku. Boczne mocowanie do kijków lub łopaty. Wyłożona miękkim materiałem kieszeń na okulary lub gogle. Możliwość dokupienia bukłaka na napoje. Izolowany naramiennik z miejscem na rurkę do bukłaka. Regulowany pas biodrowy. Pojemność: 26l. Wszystko, co potrzeba na stoku.

GRIVEL MOUNTAIN RUNNER



Cena: 249 zł
www.himalSPORT.com.pl

Lekki plecak znakomicie nadający się do biegania oraz do turystyki na jednodniowe wypady. Pas biodrowy został anatomicznie wyprofilowany – ma również po obu stronach kieszonki zapinane na zamek. Regulowany w poziomie i w pionie pas piersiowy. Główna komora zapinana na zamek. Dwa regulowane troki po jednym z każdej strony. Boczne kieszenie siatkowe. Kompatybilny z systemem HYDRO – możliwość podpięcia pojemnika z wodą.

UVEX SGL 300



Cena: 179,90 zł
www.uvex.com.pl

Okulary z szymbami przystosowanymi dla alpinistów i narciarzy, o poziomie zabezpieczenia S4, doskonale chroniącymi przed szczególnie intensywnymi promieniami słonecznymi. Dodatkowym elementem osłaniającym jest pianka, którą wyścielona jest wewnętrzna część oprawki. Obowiązkowy element ekwipunku każdego skitouringowca.





Zimą na postoju

„Któż to tak śnieżkiem prósz
z niebiosów?
Dyć oczywiście pan wojewoda;
módl się, dziecino, z całą krainą –
niech Bóg mu siły doda;
śnieżku naprószył, śnieżek poruszył
dobry pan wojewoda.

[...]

Jeżeli tedy sanki usłyszysz
i dzwonki ich tajemnicze,
wiedz: to minister w skupionej ciszy
nacisnął taki guziczek,
że gwiazdki dzwonią i gwiazdki lśnią
nad miastem i nad wsią.”

Konstanty Ildefons Gałczyński, fragmenty wiersza
„Zima z wypisów szkolnych” z 1936 roku

Na zdjęciu:
Plac przed Dworcem Głównym
w Krakowie. Na pierwszym planie
widoczne dorożki na postoju, w tle
dworzec. Fotografia wykonana zimą
1940 roku.



Poznaj Świat

Redaktor naczelny
Dariusz Małkowski
tel. 535 444 980

Zastępca redaktora naczelnego
Katarzyna Rojek
tel. 501 602 401

Sekretarz redakcji
Julia Michalczevska
tel. 535 444 990

Zespół i współpracownicy
Wojciech Albiński, Ryszard Badowski,
Józef Baran, Agnieszka Bartusiak,
Paweł Chara, Marek Kamiński,
Grzegorz Kapla, Robert Mazurek,
Beata Pawlikowska, Katarzyna Rojek,
Dariusz Rosiak, Marek Szpendowski

Adres redakcji
80-252 Gdańsk, ul. Jaśkowa Dolina 17
e-mail: redakcja@poznaj-swiat.pl
www.poznaj-swiat.pl

Wydawnictwo
PROBIER sp. z o.o. sp.k.
80-180 Gdańsk, Kowale ul. Glazurowa 7

Koordynator do spraw wydawniczych
Beata Pernak
tel. 583 508 464

PRENUMERATA KRAJOWA
numer rachunku 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
posiadacz rachunku PROBIER

PRENUMERATA ZAGRANICZNA
BRE Bank SA, Gdańsk, ul. Wały Jagiellońskie 8
IBAN PL 02 1140 1065 0000 2155 8200 1004
SWIFT BREXPLPWGDA

Grafika DTP & Prepress
Artur Bury

Reklama
Aleksandra Musiał
tel. 664 115 333

Grzegorz Miedziński
tel. 501 641 706

Maria Rzeźniczek
tel. 600 969 297

Agata Królikowska
tel. 609 028 798

Olga Kołakowska
tel. 501 050 624

Materiałów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Zastrzega sobie prawo do zmian tytułów
i opracowania redakcyjnego tekstów. Redakcja nie odpowiada
za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

e-wydanie

Miesięcznika

W internecie, na stronach
www.eGazety.pl oraz
www.e-Kiosk.pl dostępne
e-wydanie
miesięcznika **Poznaj Świat**.
Pojedynczy numer w wersji
elektronicznej kosztuje 8 zł.
Można zamówić również
roczną prenumeratę, której koszt
wynosi 88 zł. (1 numer gratis).

Szczegóły na stronach
internetowych
wirtualnych kiosków.





Incredible India

Magic of the moment

Discover a world full of mystery and fascinating diversity

www.incredibleindia.org
www.india-tourism.com

India Tourism Frankfurt
info@india-tourism.com

